№ 48 Warszawa, dnia 20 Listopada (2 Grudnia) 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

PERICULUM IN MORA.

GAWĘDA.

Przez

Ludwika Niemojowskiego.

Różne są człeka na świecie drogi,
Ten wychuchany w szczęście porasta,
A gdy się potknie przepadł i basta,
I już mu nie wstać więcej na nogi.
Choć masz hart ciała i duszę zacną,
W sercu poczciwość a we łbie olej,
Ciężką u kresu jest życia kolej,
Bo snadniej zacząć skończyć nie łacno,
Zawżdy tak z składu rzeczy wypadnie,
Iż gdy nadejdzie żywota kraniec,
Fatum ci z przeszkód usypie szaniec,
A ty się sprawisz bardzo nieładnie;
Takowy przymus co w treść życiową,
Wpiwszy się niby snów złudnych zmora,
Nie dając na świat poglądać zdrowo,
Zwą periculum — panie -- in mora.

Znałem Marmuzel, która na światek
Piękny patrzyła wciąż okiem sowiem,
A zaś liczyła (a parte powiem)
Z jakie pół kopy panieńskich latek.
Ludzie ją zwali w jubce feniksem,
Uznając walor z wszech cnót zaletą,
Ale ja ręczę wam sub secreto,
Iż sobie buzię mazała gipsem.
Podobny feler jakowym kształtem,
Może w subtelne pojęcia narość,
Dalibóg nie wiem. Piękną jest starość,
A grzech z przyrodą chcieć walczyć gwałtem.
Męża się chciało! a co, wszak zgadłem?
Więc imościanka na spazmy chora,
Maże twarz wapnem, a włosy sadłem:
To periculum — panie in mora!

Pan Maciej Wyździga, okrutny łowiec
Na folwareczki, wiana i wioski,
Gnał za pannami co miały wnioski,
Jako za stadem spłoszonych owiec.
Panny czmychały, bo dzisiaj pono,
Dziewka mająca tynfy w szkatule,
Choćby kto na nią spoglądał czule,
Nie chce goliasza nazwać się żoną.
A więc pan Marcin bacząc na słabe
Siły, by wkraść się w młode serduszko,
Upatrzył sobie opuchłą babę,
I nuże gruchać z ową staruszką.
Choć wiedźma była ślepa i głucha,
Tak że bastować dawno jej pora,
On babie wciąż coś szeptał do ucha,
To periculum — panie in mora!

Pan Jan Grzymała miał dom otwarty,
Nabity trzosik, wsie i folwarki,
Ale jak począł zwiedzać jarmarki,
Całe swe mienie puścił na karty,
Choć pusty mieszek nadrabia miną,
Nie bacząc zasię na ciężkie czasy,
Wysusza dzbany, zjada frykasy,
We spół z dobraną gości drużyną,
Niktby nie odgadł widząc te stoły,
Zastawne suto wszelkim napitkiem,
Że dziedzic z takim żyjący zbytkiem,
Jest, z przeproszeniem, jak bizun goły,
I tylko czasem po ćmach wieczorem,
Kiedy się Boruch okaże w oknie,
Szlachetka żyda w witaniu cmoknie:
To periculum — panie in mora!

Szprechować z niemcem niebardzo ładnie,
Choć się przybłędy na szwargot wabią,
Lecz czasem taki kryzys wypadnie,
Iż musisz z mową wyjechać szwabią.
Pan Prot się jeszcze malutkim chłopcem,
Wyuczył gadać biesim językiem,
Ale poprzysiągł że się przed nikiem,
Nie ozwie nigdy narzeczem obcem.
Nadeszła wojna z Bawarem, Sasem,
Ten i ów w boju szermuje szablą,
A jakiś rosły Szwab z miną dyablą,
Twarzą zbójecką — hyc nań obcesem;
I kiedy niby piekielna zmora,
Pocznie za gardło dławić go pluder,
Pan Prot zawrzeszczy: Verzeig mein bruder!
To periculum było in mora.

Jemsza tak w grzechu zagrzązł po uszy,
Że choć na skórze pisać wołowej,
Wszelakie jego szpetne narowy,
Któremi plamił czystość swej duszy,
W obrzydłem sknerstwie nie znając granic,
Brata by sprzedał za niuch tabaki,
A co najgorsza farmazon taki,
Że pacierz nawet miał sobie za nic.
Lecz gdy stanęła przed nim zdradziecko,
Koścista pani — ów niedowiarek
Zabaczył wszystkich dawnych frymarek,
I bił się w piersi płacząc jak dziecko,
Dlaczego, pytam, straszliwa pora,
Wiekuistego zmrużenia powiek,
Sprawiła że się zmienił ów człowiek?
To periculum — panie in mora.

Tandem, gdy każdej akcyi osnowę,
Casus fatalis odrazu przetnie,
Człek by nie kończył dzieł swoich szpetnie,
Na periculum niech baczy owe.

Przed ludźmi prawy, czysty przed Bogiem,
W czynach rozważny, do przysług chętny,
Pomnąc wciąż o tej chwili pamiętnej,
Niech się nie skusi brzydkim nałogiem,
Niechaj w tem polu zawsze otwartem,
Do walki, znojów, trudów, cierpienia,
Przyjmuje Bożej łaski zrządzenia,
Z niezłomnym ducha męzkiego hartem,
A wtedy zasię gdy przyjdzie pora,
W której zmódz zmienne losy potrzeba,
Nie zazna silny opieką nieba,
Czem periculum bywa in mora.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Była zaledwie szósta godzina gdy wychodziliśmy z domu. Po nad miastem snuły się jeszcze mgły ranne i słońce wybijało się dopiero po nad szczyty dachów kamienic. Oddychając orzeźwiającem powietrzem poranku, przeszliśmy Zwinger, minęli nowy gmach teatralny i przeszedłszy Stary most, skręciliśmy w prawo, udając się brzegiem Elby po za miasto, w stronę Saskiej Szwajcaryi.

Z początku rozmawialiśmy o rzeczach potocznych, a więcej jeszcze milczeliśmy oboje. Ksenia oparta na mem ramieniu, usunąwszy z czoła kapelusz, nucąc półgłosem jakiegoś szopenowskiego mazurka, przyglądała się latającym po nad naszemi głowami jaskółkom i oddychała z rozkoszą świeżem wonnem powietrzem gór i wody. Ja także nie byłem usposobiony zbyt do rozmowy i szliśmy obok siebie zadumani oboje. Dopiero, kiedy minęliśmy ostatnie zabudowania przedmiejskie i mury stoliczne pozostały już po za nami daleko, zapytałem Ksenię, kiedy zamyśla powrócić do domu?

Dziewczyna zamilkła nagle i spojrzała na mnie z przestrachem z pod szerokich skrzydeł kapelusza.

— Na Boga! — rzekła — nie mów mi nic o domu. Nie powrócę tam za nic... albo chyba nie prędko.

— Czyż myślisz pani pozostać tu wiecznie?

— Nie wiem — odparła mi szybko. — Tu czy gdzieindziej wszystko mi jedno, byleś tylko nie kazał mi powracać do Młynów. Jeśli uważasz, że może zadługo siedzę tu w Dreznie, to z chęcią zmienię miejsce mego pobytu. Myślałam już o tem sama, żeby wyjechać gdzie dalej... do Paryża, Wiednia, lub zresztą do Lalki, do Neapolu. Wiem tylko, że do domu nie zawiezie mnie żadna ludzka siła.

— Dziecko — odrzekłem łagodnie — cóż zyskasz na tej włóczędze? Przypuszczam, że pojeździsz tak drugie jeszcze pół roku, nawet rok cały, ale w końcu będziesz przecież musiała kiedyś powrócić do kraju, czyż nie lepiej uczynić to odrazu?

Ksenia roześmiała się swym przykrym śmiechem ze ściągniętemi brwiami.

— Jakiś ty nudny mój drogi—rzekła lekko. — Myślisz już o tem co będzie za rok. Ja nie umiałabym ci powiedzieć, co uczynię z sobą jutro. Jest mi dzisiaj wesoło i dosyć mi na tem.

Spojrzałem uważnie w jej oczy.

— Czy to dzisiaj zadawalnia panią? — zapytałem.

Ukrainka odwróciła się ode mnie i spojrzała w drugą stronę w pole.

— Czyż człowiek żyje na to, aby był zadowolonym? — odrzekła dziwnym głosem. — Bawię się i na tem koniec.

Szedłem obok niej smutny.

— Że się pani bawisz, to widziałem to wczoraj. Otoczona byłaś rojem młodzieży, która o ile widziałem, kocha się wszystka w tobie.

— I z których każdy przekonanym jest, że odpłacam mu wzajemnością najczulszą, podczas gdy drugich znoszę tylko przez grzeczność obok siebie — przerwała mi śmiejąc się dziewczyna.

— Dziecko — rzekłem jej poważnie — strzeż się! Gdyby ktośkolwiek usłyszał cię tak mówiącą, mógłby najgorsze przekonanie powziąć o twym charakterze!

— Powiedziałby, że jestem kokietką? Ależ tak jest, czuję, że nią jestem! Nie uwierzysz mój przyjacielu, jaka to przyjemność być otoczoną przez tłum ludzi, którym kieruje się jednem skinieniem palca, który jak o największą łaskę ubiega się o słówko me, uśmiech, spojrzenie jedno i panować tak nad nimi ze spokojnem sercem i głową trzeźwą najzupełniej.

— Czyż dla wszystkich jesteś pani równie obojętną? — zapytałem po chwili — czyż nie czujesz dla żadnego z nich szczególniejszych względów? Zdaje mi się, że ten młody honwed odbiera może od ciebie żywsze nieco dowody łaski, niż drudzy.

Ksenia parsknęła śmiechem.

— Lubię go może więcej tyranizować niż drugich, dlatego, że jest więcej we mnie zakochany— odrzekła wzruszając lekko ramionami. — Przewiduję, że ten biedny chłopiec wpadnie w paroksyzm rozpaczy, ale nie umrze z mojej przyczyny!

— Czy zastanowiłaś się pani nad tem, czem jest taka zabawa w ludzkie serca? —odrzekłem strwożony.

— Ach! czyż oni mają serca? — odparła ze zmarszczonemi silnie brwiami. — Chciwość i duma, oto wszystko, co nimi powoduje tylko! Mężczyzna żaden kochać nie umie prawdziwie. Pożąda miłości kobiety i pragnie zdobyć ją dlatego tylko, że zdaje mu się, iż wszystko jego woli podlegać powinno! Kobieta w ich oczach dopóty posiada jakąś wartość, dopóki nie są pewni jej serca, ale skoro tylko przekonają się, że są kochani, stygną! Zrobili już swoje, zniszczyli spokój jej serca, odebrali jej szczęście i swobodę i mogą odejść już wtedy z miną tryumfatorów.

— Czy to ogólna pani opinia o naszym rodzaju?—spytałem kłaniając jej się czapką do ziemi.— Jeśli tak, to wypada mi podziękować ci w imieniu wszystkich mężczyzn.

— Ty mój stary jesteś wyjątkiem i dlatego pozostałeś starym kawalerem! — odparła mi przytulając śliczną twarzyczkę do mego ramienia.

— Darujesz pani—przerwałem jej poważnie— ale sąd twój jest niesprawiedliwy. Los nieszczęśliwy postawił na twej drodze pierwszego nikczemnika, którego niestety pokochałaś całą duszą a na którym zawiódłszy się, potępiasz wszystkich.

Dziewczyna spojrzała wielkiemi oczyma na mnie.

— Ach! — rzekła żywo — sądzisz że myślę o Eugeniuszu? Nie znasz mnie i nie znasz kobiet wcale. Czy mniemasz, że kobieta, która widziała raz tylko człowieka ukochanego, rumieniącego się ze wstydu i spuszczającego oczy przed dziewczyną która rzuciła mu nazwę nikczemnika! będzie myślała o nim, tęskniła i smuciła się po stracie jego miłości? Gdzie zaś! To taka natura nieszczęśliwie słaba i wrażliwa, że nawet nazwać jej złą nie warto, a tem bardziej nienawidzieć. Jestem przekonaną, że kiedy mnie kochał—jeśli takie uczucie kochaniem zwać można, to kochał mnie dopóty, dopóki nie zobaczył innej kobiety, jeśli nie piękniejszej to niezawodnie efektowniejszej, a którą pokochał i pokocha tak jeszcze dwadzieścia kobiet innych, jakie napotka po nas w życiu! Mogę cię zapewnić, że nie zaprzątam sobie myślą o nim głowy i nie potrafię nawet mieć teraz do niego żalu. W pierwszej chwili zdawało mi się istotnie, że muszę umrzeć, ale po rozmyśle, uspokoiłam się zupełnie! Czyż to warto? Mówię ci, nie mam do niego żadnego żalu, mogłabym spotykać go teraz codziennie i nawet serce nie zabiłoby mi na widok jego twarzy. Ale tamtego drugiego, tamtego rozumnego, mocnego, doskonałego, tamtego Katona... ja nienawidzę... tamten przekonał mnie jacy oni są wszyscy i za niego ja ich wszystkich nienawidzę śmiertelnie!

Jeśli kiedy, to w tej chwili istotnie przekonałem się, że w żyłach mej cudnej pupilki płynie krew grecka.

Twarz jej pobladła, oczy pociemniały, nozdrza roztwarte drgnęły lekko, a usta purpurowe przycięła do krwi białemi swemi ząbkami.

— Ach! — rzekła po chwili głosem stłumionym — jeśli oni mają serca istotnie, to chciałabym mieć je kiedyś wszystkie, pod kopytami mego Burana.

Słuchałem słów jej zdumiony. Tego co usłyszałem w tej chwili, nie spodziewałem się bynajmniej. Więc to mój poważny, spokojny przyjaciel, był przedmiotem nienawiści Kseni? Więc to za niego moja śliczna faworytka nienawidziła nas wszystkich i kokietowała czarnookiego honweda?! Usłyszawszy tę najniespodziewańszą wiadomość, szedłem obok niej w milczeniu, porządkując w głowie pomieszane myśli.

Ukrainka oparta na mem ramieniu uspokajała się zwolna.

— Wróćmy do domu — rzekła po chwili niechętnie.—Widzisz sam, że teraz ze mną rozsądnie mówić nie można. Potrzebuję śmiać się dzień cały, gdyż inaczej... szaleję!

Zawróciliśmy w stronę miasta.

Miałem mej faworytce do mówienia bardzo wiele, powinienem był zrobić jej niejedną uwagę, ale widziałem, że zbyt jest rozdrażnioną, aby mnie zrozumieć chciała, pomyślałem sobie, że będę chyba musiał zabawić z Dreznie dłużej po nad mój program, jeśli chcę działać na jej umysł i zmienić jej przekonania choć cokolwiek.

Mieliśmy do miasta jeszcze z pół mili drogi i przeszliśmy ją milcząc oboje. Ksenia była mocno poruszona i od czasu do czasu, brwi jej ściągały się nerwowo. Ja szedłem obok niej poważny, rozmyślając nad nowem odkryciem, które uczyniłem przed chwilą.

Kiedy powróciliśmy do miasta, dziewiąta biła na wieży kościoła i przed domem naszym spostrzegliśmy stojącą piękną karetę, w której Ksenia poznała ekwipaż hrabiny Ul. Zastaliśmy ją w salonie, czekającą wraz z panną Anastazyą na Ksenię, która jak mówiła egzaltowana nieco galicyj-

ska dama, przyjechała odwiedzić, powracając z kościoła.

Nie lubiąc nowych znajomości a do wizyt miejskich czując wstręt nieprzezwyciężony, pozostawiłem moją pupilkę w salonie a sam wymknąłem się do mego pokoju. Odtąd też przez dzień cały nie miałem sposobności do zejścia się z nią sam na sam.

Od rana do wieczora, ciągle przyjeżdżał ktoś, lub przychodził, tak że moja Ukrainka zaledwie miała dość czasu do zmienienia rannego stroju, na toaletę do obiadu. Nie pojmowałem jak nasze panie wyżyć mogły w tym ciągłym wirze i około wieczora, znudzony śmiertelnie dźwiękiem ustawicznym dzwonka przy drzwiach wchodowych, który literalnie przez dzień cały brzęczał bez ustanku i ciągłem anonsowaniem wizyt przez lokaja, korzystając z chwilowej jakiejś przerwy, pomiędzy odejściem jednych a przybyciem nowych gości, zaproponowałem Kseni wycieczkę z domu.

Na tarasie Brühlowskim odbywał się jakiś koncert przejeżdżających tyrolskich śpiewaków, namówiłem więc nasze panie, abyśmy tam bodaj schronili się przed napadami nielitościwych gości.

Panna Anastazya odmówiła mi wprost swego towarzystwa, bo jak twierdziła, dosyć już miała koncertów i muzyk całego świata i wolała pozostać w domu. Ale Ksenia śmiejąc się z mej parafiańskiej dziczyzny przystała chętnie na me życzenie i wymknęliśmy się jak uciekający więźnie z domu.

Niewiele przecież zyskałem na mym strategicznym obrocie. Zaledwie ukazaliśmy się w koncertowej sali i zajęli jeden ze stojących bliżej drzwi stolików, natychmiast z różnych stron zjawiać się poczęli znajomi Kseni i wkrótce zebrało się obok nas dość liczne, przeważnie z mężczyzn złożone grono, które gwarnem, wesołem kołem, otoczyło moją cudną dziewczynkę.

Pierzchnęły więc niepowrotnie moje marzenia o chwilce wypoczynku i pozostania sam na sam z Ksenią. Zły i zmęczony siedziałem chmurny i milczący, słuchając z roztargnieniem tyrolskiej muzyki i nie mieszając się prawie do rozmowy towarzystwa, które zapewne niebardzo radowało się ze zgryźliwego humoru opiekuna pięknej dziedziczki.

Co do Kseni, to z jej czoła uleciał już wszelki ślad porannej burzy. Dziewczyna odzyskała już całą swą swobodę najzupełniej, a twarz moja chmurna, pobudzała ją tylko do większej jeszcze wesołości i spoglądając na mnie od czasu do czasu figlarnie, olśniewała nas wszystkich blaskami rzeczywistego, salonowego dowcipu, który w rozmowie z otaczającą ją tłumnie młodzieżą świetnie rozwinąć miała pole.

Wtem nastąpiła chwilowa pauza, pomiędzy jedną częścią koncertu a drugą i rozglądając się po sali, przysłuchiwałem się różnojęzycznemu szmerowi rozmawiającej publiczności, gdy drzwi szklanne wchodowe, do których siedziałem plecami, brzęknęły i nagle zobaczyłem rumieniec purpurowy, który aż po szyję i jasne warkocze, oblał twarz siedzącej naprzeciw mnie Kseni. Zdziwiony, spojrzałem w kierunku jej spojrzenia i odwróciwszy się po za siebie, najniespodziewaniej ujrzałem Mirskiego, który wszedłszy do sali z programem koncertowym w ręku, przesuwał się zwolna pomiędzy krzesłami i stołami publiczności.

Młody człowiek ujrzawszy nas, uśmiechnął się ukłonił się najpierw Kseni, potem mnie, bardzo uprzejmie. Nie zbliżył się przecież do nas i wynalazłszy sobie próżny stolik na środku sali, usiadł przy nim sam jeden.

(*D. c. n.*)

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

II.

Ów porucznik artyleryi konnej nazywał się Jan Reynaud. Był on synem wioskowego lekarza, który spoczywał na cmentarzu Longuevalu. Kiedy w roku 1846, ksiądz Konstanty przybył dla objęcia tej parafii, pewien doktor Reynaud, dziad Jana, zamieszkał w wesołym domku nad drogą do Souvigny, pomiędzy dwoma zamkami Longueval i Lavardens położonemi.

Marceli, syn doktora Reynaud, kończył wtedy nauki w Paryżu. Był to młodzieniec rzadkiej pracowitości, a wielkiej dystynkcyi umysłowej. Świetnie mu szły egzamina, zawsze był pierwszym. Zamiarem jego było pozostać w Paryżu, wszystko mu obiecywało szczęśliwą i świetną karyerę, gdy nagle w 1852 roku, otrzymał wiadomość o śmierci ojca.

Marceli pospieszył do Longueval z sercem rozdartem. Kochał całą duszą swego ojca, cały miesiąc przepędził przy matce, ale po upływie tego czasu, począł mówić o konieczności powrotu do Paryża.

— Prawda — rzekła ona — musisz już jechać.

— Jakto! musisz jechać?... Chyba musimy jechać... Czy sądzisz matko, że ja cię samą tu zostawię? Zabieram cię z sobą.

— Żebym ja mieszkała w Paryżu!... Opuściła ten kraj gdziem się urodziła, gdziem żyła z twoim ojcem, gdzie on umarł!... To nad moje siły, mój synu drogi, nie będę w stanie uczynić tego! Jedź sam, kiedy tam przyszłość twoja. Ja znam ciebie, nie zapomnisz o mnie i będziesz mnie odwiedzać często, bardzo często.

— Nie, moja matko — odpowiedział — ja zostanę.

I pozostał. Nadzieje jego, zamiary, rojenia, wszystko w jednej chwili rozwiało się, zniknęło. Jedno tylko widział przed sobą: obowiązek, który mu nakazywał nie opuszczać matki starej i cierpiącej. W tym obowiązku, ze szczerą prostotą przyjętym i z prostotą dokonanym, znalazł szczęście. Bo też na prawdę, tylko w spełnieniu obowiązku znaleźć je można.

Marcel z wesołem sercem i swobodną myślą oddał się swemu nowemu życiu. Objął klientelę ojca i całkowicie i bez wstecznej myśli oddał się temu skromnemu powołaniu wioskowego lekarza. Ojciec zostawił mu trochę pieniędzy i ziemi kawałek. Żył jak najprościej, a większą połowę swego czasu poświęcał biednym, od których nigdy grosza wziąć nie chciał. To jedyny był jego zbytek.

Młoda dziewczyna znalazła się na jego drodze, bez majątku, dobra i miła, a sama jedna na świecie. Z nią się ożenił. Było to w roku 1855, a rok następny prawie jednocześnie przyniósł mu wielki smutek i wielką radość: stratę matki i przyjście na świat syna Jana.

W odstępie sześciotygodniowym, ksiądz Konstanty odmawiał modlitwy za umarłych, nad grobem babki i zlewał wodą chrztu św. główkę jej wnuka. Proboszcz był ojcem chrzestnym dziecięcia. Spotykając się co chwila u łoża cierpiących i umierających, proboszcz i lekarz, jednego serca i jednego ducha, uczuli ku sobie pociąg wzajemny. Poznali iż są z jednej rodziny, jednej rasy, rasy czułych, sprawiedliwych, miłosiernych i dobroczynnych.

Lata za latami upływały, ciche, łagodne, spokojne, w zadowolnieniu jakie praca i pełnienie obowiązków ludziom zacnym daje. Jaś podrastał. Od ojca brał pierwsze lekcye gramatyki i ortografii, od księdza pierwsze lekcye łaciny. Jaś był inteligentny i pracowity, czynił takie postępy, że obaj profesorowie, proboszcz zwłaszcza, po upływie lat kilku, uczuli, że uczeń ich prześciga. W tym czasie hrabina de Lavardens, po śmierci męża wróciła na wieś, aby stale w zamku swym zamieszkać. Przywiozła nauczyciela dla swego syna Pawła, który był bardzo miłym, ale też i bardzo leniwym chłopaczkiem. Chłopcy obaj byli jednego wieku, znali się od lat najmłodszych.

Pani de Lavardens miała wiele przyjaźni dla doktora Reynauda, pewnego dnia rzekła do niego:

— Przysyłaj mi pan codziennie rano swego Jasia, ja go wieczorem odsyłać będę. Nauczyciel mego Pawła jest młodzieńcem dystyngowanym i bardzo ukształconym, niech nasze dzieci razem pracują pod jego kierunkiem Uczynisz mi tem wielką przysługę. Jaś będzie dobrym przykładem dla mego chłopaka.

Rzeczy zatem tak zostały ułożone: młody mieszczanin był rzeczywiście wybornym przykładem pracowitości dla młodego szlachcica, ale niestety, nie szedł on za tym przykładem.

Wybuchła wojna, 14 października, o siódmej rano, gwardya ruchoma z Souvigny zebrała się na wielkim placu miasteczka; miała ona za kapelana księdza Konstantego, a za starszego lekarza doktora Reynaud. Jednocześnie taż sama myśl przyszła im obu, ksiądz miał sześćdziesiąt i dwa lata, doktor pięćdziesiąt.

Batalion wyszedłszy z miasta, ciągnął drogą idącą przez Longueval i przechodzącą obok domku doktora. Pani Reynaud i Jaś czekali na brzegu drogi. Chłopiec rzucił się na szyję ojca, wołając: „Weź mnie z sobą, ojcze, weź mnie z sobą!” Pani Reynaud zalewała się łzami. Doktor długo oboje trzymał w objęciu, a potem poszedł za batalionem.

O jakie sto kroków droga przykro się zwracała. Doktor się obejrzał, na żonę i na syna rzucił wzrok przeciągły... ostatni! Już ich widzieć nie miał.

8 stycznia 1871 r., gwardya ruchoma z Souvigny zdobywała szturmem wioskę Villersexel, zajętą przez Prusaków, którzy w domach się zabarykadowali, w murach strzelnice porobiwszy. Rozpoczął się ogień z ręcznej broni. Młody żołnierz z pierwszego szeregu padł kulą w piersi ugodzony. Pierwszy szereg się zachwiał i zawahał. Ale oficerowie krzyknęli: „naprzód!” żołnierze przeszli po ciele swego towarzysza i wśród gradu kul wpadli do wioski.

Doktor Reynaud i ksiądz Konstanty szli wraz

z oddziałem. Przy rannym się zatrzymali. Z ust i piersi krew mu buchała. Doktor pochylił się nad nim.

— Ja tu nic nie pomogę — rzekł po chwili — on umiera, do ciebie już należy.

Ksiądz ukląkł przy konającym a doktor powstawszy pobiegł za wojskiem. Ale zaledwie odszedł o kilkanaście kroków, nagle zachwiał się, poruszył rękami i runął na ziemię. Ksiądz skoczył ku niemu. Już nie żył, zabity na miejscu od pruskiej kuli, która w skroń go trafiła.

Wieczorem wioska była w naszem ręku, a nazajutrz grzebano na cmentarzu w Villersexel ciało doktora Reynauda. We dwa miesiące potem, ksiądz Konstanty sprowadził do Longueval zwłoki swego przyjaciela a za trumną, gdy ją z kościoła wynoszono, postępował sierota. Jaś bowiem stracił i matkę swoją. Na wiadomość o śmierci męża, nagle zapadła w stan jakiegoś osłupienia, nieczułości, bez głosu, bez łzy jednej. Poczem nastąpiła gorączka, bredzenie i śmierć po dniach kilku.

Jaś znalazł się sam na świecie. Miał lat czternaście. Z tej rodziny, w której wszyscy od dawnego czasu, byli dobrzy, uczciwi i pożyteczni, nie zostawało już jak tylko dziecko klęczące na grobie, które obiecywało także być tem czem dziad i ojciec byli: dobrym, zacnym i pracowitym. Są takie rodziny i nawet jest ich wiele; lecz zbyt mało są znane, bo historya ludzi zacnych i dobrych najczęściej jednostajną lub bolesną bywa. Dowodem tego to opowiadanie.

Boleść Jana była boleścią męzką. Długo pozostawał smutny i milczący. Wieczorem po pogrzebie ojca, ksiądz Konstanty zabrał go z sobą na probostwo. Dzień był chłodny i dżdżysty. Jaś spokojny i zamyślony siedział przy ogniu. Ksiądz brewiarz swój czytał. Stara Paulina chodziła i wracała, coś porządkując. Godzina cała przeszła, a nikt jednego nie wyrzekł słowa, gdy nagle Jaś odezwał się, podnosząc głowę:

— Ojcze chrzestny, czy mój ojciec zostawił mi co pieniędzy?

To zapytanie było tak dziwnem, że proboszczowi zdało się iż źle słyszał i na razie nie wiedział co odpowiedzieć.

— Ty mnie pytasz czy twój ojciec...

— Pytam się czy mój ojciec zostawił mi pieniądze?

— Tak... zapewne... musiało zostać coś pieniędzy.

— Dużo, nieprawdaż? Często słyszałem jak mówiono po wioskach, że mój ojciec bogaty. Powiedzcież mi, ile mniej więcej mógł mi zostawić.

— Nie wiem dokładnie... Pytasz mnie o takie rzeczy.

Zabolało serce biednego księdza, to zapytanie chłopca duszę mu rozdarło. Myśl o pieniądzach i jeszcze w tej chwili! A jednak zdawało mu się iż dobrze zna serce Jasia, i że w tem sercu na podobne myśli miejsca być nie może.

— Proszę cię, ojcze chrzestny, powiedz mi to— prosił Jaś głosem łagodnym. — Później powiem dlaczego pytam o to.

— Twój ojciec miał, jak mówią od dwiestu do trzystu tysięcy franków.

— Czy to dużo pieniędzy?

— Dość wiele.

— I te pieniądze wszystkie do mnie należą?

— A tak, do ciebie.

— Ach, tem lepiej, bo tego dnia kiedy mój ojciec został zabity, tam, na wojnie, Prusacy razem z nim zabili syna biednej kobiety z Longueval... matki Klementyny... wiesz ojcze? A także i brata tej Rozalii z którą bawiłem się kiedym był małym. Otóż ponieważ jestem bogaty a one biedne, to temi pieniędzmi jakie ojciec zostawił muszę się podzielić z Rozalią i matką Klementyną.

Słysząc te słowa, proboszcz wstał, wziął Jasia za obie ręce, przyciągnął ku sobie i do swych piersi przycisnął. Biała jego głowa sparła się na jasnej główce chłopaka. Dwie wielkie łzy błysnęły w jego spracowanych oczach i stoczyły się po zmarszczonych policzkach.

Jednakże ksiądz musiał wytłomaczyć Jasiowi, że chociaż spadek po ojcu jest jego własnością, wszelako nie może on jeszcze nim rozporządzać według swej woli. Zależéć to będzie od rady familijnej i od opiekuna, którego mu naznaczą.

— Was zapewne, ojcze chrzestny?

— Nie, nie mnie, moje dziecię, ksiądz nie ma prawa być opiekunem. Ja sądzę, że wybiorą pana Lenient, notaryusza z Souvigny, który był wielkim przyjacielem twego ojca. Ty z nim pomówisz, powiesz mu jakie są chęci twoje.

P. Lenient został rzeczywiście przez radę familijną wybrany na opiekuna. Prośby Jana były tak żywe i czułe, iż zgodził się na wybieranie z dochodów summy dwóch tysięcy czterystu franków, którą corocznie, aż do pełnoletności Jana rozdzielał pomiędzy matkę Klementynę a małą Rozalkę.

Pani de Lavardens, po tym smutnym wypadku także pięknie się znalazła. Udała się do księdza Konstantego.

— Dajcie mi Jasia, księżę proboszczu — mówiła ona — oddajcie mi go zupełnie aż dopóki nauk nie ukończy. Będę go wam przywozić corocznie na wakacye. Nie jest to usługa, którą wam chcę uczynić, ale o którą dla siebie upraszam. Nic nie może być pomyślniejszem dla mego syna. Zdecydowałam się opuścić Lavardens na lat kilka, Paweł pragnie zostać żołnierzem, wstąpić do szkoły w Saint-Cyr. Tylko w Paryżu będzie mógł do niej się przygotować. Osiądę tam z obu chłopcami, razem uczyć się będą, pod mojem okiem, po bratersku. Żadnej różnicy między nimi robić nie będę, tego możesz być pewnym księżę proboszczu.

Trudno było nie przyjąć tak korzystnego projektu. Stary ksiądz wolałby był Jasia przy sobie zatrzymać, serce mu się krajało na myśl o rozłączeniu; ale w czem był interes chłopca, to jedynie należało mieć na uwadze. Reszta już nic nie znaczyła... Wezwano Jasia.

— Moje dziecię — rzekła do niego pani de Lavardens — czy chciałbyś pojechać ze mną i z Pawłem do Paryża i tam przepędzić lat kilka?

— Bardzo dziękuję pani, ale jabym wolał tu pozostać.

I spojrzał na proboszcza, który odwrócił oczy.

— Dlaczegóż pani wyjeżdża i chce z sobą zabrać mnie i Pawła?

— Bo tylko w Paryżu obaj będziecie mogli ukończyć pożytecznie wasze nauki. Paweł przygotuje się do egzaminu w Saint-Cyr. Wiesz bowiem że chce zostać żołnierzem.

— I ja chcę być żołnierzem, proszę pani, chcę nim być koniecznie.

— Ty, żołnierzem! — zawołał proboszcz — alež to nie było wcale w zamiarach twego ojca. Nieraz przy mnie, mówił on o twojej przyszłości, o twej karyerze. Życzeniem jego było ażebyś został doktorem medycyny, lekarzem wioskowym w Longueval... i jak on, dopomagał biednym, leczył chorych... Jasiu, moje dziecię, przypomnij to sobie.

— O! pamiętam to, pamiętam.

— A więc, należy tak uczynić jak tego życzył sobie twój biedny ojciec... To twój obowiązek, tak Jasiu, to jest twym obowiązkiem. Powinieneś jechać do Paryża. Chciałbyś tu zostać?... o! i ja dobrze to rozumiem... i jabym pragnął tego, ale to być nie może. Należy jechać do Paryża, pracować, dzielnie pracować. Będziesz człowiekiem uczciwym i człowiekiem pracowitym, pożytecznym. Jedno z drugiem zwykle w parze chodzi. I kiedyś, w tym domku twego ojca, na tem samem miejscu gdzie on tyle czynił dobrego, biedni ludzie tego naszego zakątka znajdą nowego doktora Reynaud, który, on także równie dla nich dobrym i pomocnym będzie. A ja jeśli mnie Bóg zatrzyma na tym świecie, jakże tego dnia będę szczęśliwym, o! jak bardzo szczęśliwym!... ale nie powinienem mówić o sobie... źle robię... ja tu w rachunek nie idę... O twoim ojcu należy ci tylko pamiętać. Powtarzam ci mój Jasiu, że to było jego najgorętszem życzeniem. Nie należy ci o tem zapominać.

— Nie, nie zapomniałem, ale jeżeli ojciec widzi mnie i słyszy, pewny jestem, że mnie rozumie i przebacza, gdyż to właśnie z jego przyczyny.

— Z jego przyczyny?

— Tak jest, kiedy przyszła wiadomość o śmierci ojca i dowiedziałem się w jaki sposób zginął, zaraz nie potrzebując namyślać się długo, powiedziałem sobie, że muszę być żołnierzem... i będę żołnierzem!... Mój ojcze chrzestny i pani, błagam was, nie sprzeciwiajcie się memu postanowieniu...

Mówiąc to, chłopiec rozpłakał się i wpadł jakby w rodzaj rozpaczy. Hrabina i proboszcz uspokoili go łagodnemi słowami.

— Dobrze, dobrze... rzecz skończona, będziesz czem zechcesz, my ci przeszkód stawiać nie będziemy.

Oboje jednocześnie tę samą myśl mieli. Zostawmy to czasowi. Jaś jest dzieckiem jeszcze; później zmieni zdanie. Oboje wszakże w tem się omylili. Jan nie zmienił postanowienia.

We wrześniu 1876 roku, Paweł nie zdał egzaminu, Jan zaś został przyjęty z odznaczeniem do szkoły politechnicznej. W dniu w którym lista przyjętych kandydatów ogłoszoną została, pisał on do księdza Konstantego:

„Jestem przyjęty i nadto dobrze przyjęty, bo jako siódmy z rzędu, ale przez ciąg mej bytności w szkole chcę numer mój zachować. Będę się przygotowywać do służby w armii a nie w cywilnych posadach.”

I tak się stało. Jan nietylko zachował swój numer porządkowy, ale wyszedł trzecim. Lecz zamiast wstąpić do szkoły dróg i mostów, wszedł do szkoły artyleryi w Fontainebleau, w roku 1878. Tylko co był ukończył lat dwadzieścia i jeden. Zostawszy pełnoletnim, panem swego majątku, pierwszą jego administracyjną czynnością był wielki bardzo wielki wydatek. Kupił, dla matki Klementyny i dla małej Rozalki, dwa tytuły renty po półtora tysiąca franków dla każdej. To go kosztowało około siedmdziesięciu tysięcy franków, mniej więcej tyle ile Paweł w pierwszym roku swej wolności w Paryżu, wydał na pannę Lizę Bruyère z teatru Palai-Royal.

We dwa lata później, Jan wychodził pierwszym ze szkoły aplikacyjnej, co mu dawało prawo wy-

boru pomiędzy istniejącemi wakansami. Było jedno w pułku stojącym w Souvigny, a Souvigny znajdowało się o trzy kilometry od Longuevalu. Jan poprosił i otrzymał to miejsce.

Takim to sposobem Jan Reynaud, porucznik 9-go pułku artyleryi konnej, przybył w październiku 1880 roku, objąć w posiadanie domek doktora Marcelego Reynauda. Takim to sposobem zamieszkał znowu w tym kraju, w którym całe swe spędził dzieciństwo, gdzie znał go każdy i gdzie wszyscy zachowali wspomnienie cnót, życia i śmierci jego ojca. Takim sposobem nie została odmówioną zacnemu starcowi, księdzu Konstantemu, ta wielka radość oglądania jeszcze syna swego przyjaciela. I jeśli wszystko powiedzieć mamy, wcale nie miał za złe Janowi, iż nie został lekarzem. Kiedy stary proboszcz wychodził ze swego kościołka, po odprawionem nabożeństwie, kiedy widział na drodze podnoszący się tuman kurzawy, a słyszał ziemię jęczącą pod toczącemi się armatami... zatrzymywał się i z dziecinnem zajęciem patrzył na pułk na manewra przeciągający... Ale dla niego pułk, to był jeden Jan tylko! Był to ten dzielny i pięknie zbudowany jeździec, w rysach którego jasno się malowały dobroć, prawość i odwaga.

Jan jak tylko spostrzegał proboszcza, w czwał puszczał swego konia, aby chwilkę pogadać ze swym chrzestnym ojcem. Koń Jana wyciągał głowę do starego księdza, bo dobrze wiedział że zawsze znajdzie się dla niego kawałek chleba w kieszeni tej sutany czarnej, połatanej, zużytej, sutany porannej. Proboszcz miał i inną, piękną, zupełnie nową, ale którą oszczędzał na dnie uroczyste... albo na wizyty w wielkim świecie.

Muzyka pułku grała podczas gdy przechodzono przez wioskę... a oczy wszystkich szukały Jasia, małego Jasia. Bo dla starych Longuevalu on zawsze pozostał *małym Jasiem*. Nie jeden wieśniak cały pomarszczony, przygarbiony, nie mógł się odzwyczaić od powitania go jak dawniej, słowami: „A! dobrydzień ci chłopaku!" A chłopak ten miał sześć stóp wzrostu.

I Jan nie przejeżdżał nigdy przez wioskę, ażeby nie zobaczył w dwóch oknach, starej pargaminowej twarzy matki Klementyny i uśmiechniętego buziaka Rozalii. Ta ostatnia, w roku przeszłym, wyszła była za mąż. Jan był jej drużbą i ochoczo w dzień ślubu, przez cały wieczór tańczył i śmiał się z dziewczętami wioski.

Takim był porucznik artyleryi, który w sobotę dnia 28 maja 1881 roku, około godziny piątej po południu, zsiadł z konia przed bramką probostwa w Longueval: wszedł na dziedzińczyk, koń spokojnie postępował za nim i sam poszedł stanąć u żłobu, pod małą szopką w jednym jego kącie. Paulina była w oknie kuchni... Jan zbliżył się i serdecznie w twarz ją pocałował.

— Dobrydzień, kochana Paulino, jakże zdrowie?

— Dobrze... Obiad gotuję, więc mi nie przeszkadzaj. A jeśli chcesz wiedzieć co będziesz mieć na obiad, to ci powiem. Zupę kartoflową, pieczeń baranią i jaja bite w śmietanie, które ja tak wybornie robię.

— Doskonale! Wszystko to bardzo lubię i mam wilczy apetyt.

— Zapomniałam jeszcze o sałacie, ale pomożesz mi ją zebrać. Obiad będzie o wpół do siódmej, bo dziś wieczorem o wpół do ósmej, ksiądz proboszcz musi odprawić Majowe nabożeństwo.

— A gdzie mój chrzestny ojciec?

— W ogrodzie... ksiądz proboszcz bardzo smutny, z powodu tej wczorajszej sprzedaży.

— A tak, wiem o co chodzi.

— To go pocieszy jak ciebie zobaczy. On zawsze taki kontent jak ty tu jesteś. Oho! patrz! twój Lulu pozjada nasze wijące się róże! Jakiż on zgrzany, ten twój dzielny Lulu!

— Jechałem dalszą drogą, przez lasy i jechałem szybko.

Jan ujął za cugle konia, który kroczył ku różom, zaprowadził go pod szopę, rozsiodłał, rozkiełznał, wiechciem ze słomy wytarł mu grzbiet i boki i uwiązał u żłobu. Potem wszedł do domku, pałasz postawił w kącie, a zastąpiwszy swój kepi ogromnym, starym słomianym kapeluszem, wyszedł do ogrodu szukać proboszcza.

Biedny księżyna naprawdę był bardzo smutny. Przez całą noc nie zmrużył oka, on co zasypiał tak łatwo, snem spokojnym, dziecinnym prawie. Dusza jego srodze się dręczyła. Longueval w rękach cudzoziemki, heretyczki, awanturnicy! Jan mu powtarzał to co Paweł mówił wczoraj:

— Będziesz mieć od nich pieniądze, dużo pieniędzy dla swych ubogich.

— Pieniądze! pieniądze!... Zapewne, ubodzy może i nic nie stracą... Ale o te pieniądze, ja będę musiał pójść prosić i w tym salonie, zamiast mojej starej, drogiej przyjaciółki, znajdę tę czerwonowłosą Amerykankę, bo podobno ona ma włosy czerwone! Zapewne że pójdę, pójdę dla moich biednych. I ona da mi pieniądze, ale tylko pieniądze. Margrabina dawała co innego, dawała serce i swe życie! Każdego tygodnia, dwa razy na tydzień, odwiedzaliśmy razem ubogich i chorych. Ona znała wszystkie bóle, wszystkie nędze całej okolicy. I kiedy choroba nieraz trzymała mnie przykutym w fotelu, ona chodziła sama, objeżdżała całą parafię, ratowała i pocieszała lepiej ode mnie.

Paulina przerwała rozmowę. Przyszła niosąc ogromną salaterkę fajansową, malowaną w krzyżące fioletowe i czerwone kwiaty.

— Otóż jestem — rzekła wchodząc — przychodzę urwać sałaty... Janie, jaką wolisz, czy rzymską głowiastą, czy młodziutką cykoryę.

— Niech będzie cykorya — wesoło Jan odpowiedział — dawno cykoryi nie jadłem.

— Najesz się dzisiaj dowoli... Weź, potrzymaj salaterkę.

Stara gospodyni poczęła zbierać sałatę, a Jan pochylony podawał jej salaterkę w którą listki cykoryi rzucała. Proboszcz patrzył na tę robotę.

W tej chwili głos dzwonków dał się słyszeć. Zbliżał się jakiś powóz klekoczący od starości.. Ogródek księdza Konstantego oddzielony był od drogi tylko nie wysokim płotem, w środku którego znajdowała się furtka.

Wszyscy spojrzeli i z zadziwieniem zobaczyli stary kocz jakiegoś pierwotnego kształtu, wyraźnie gdzieś najęty, zaprzężony parą białych koni i mający za woźnicę chłopa w bluzie. Obok niego na koźle, siedział służący w liberyi poważnej, ale jak najstaranniejszej. W powozie zaś dwie młode kobiety, w jednakowych podróżnych ubraniach, bardzo skromnych, lecz bardzo eleganckich.

Gdy powóz znalazł się przy płocie, woźnica zatrzymał konie i rzekł, zwracając się do proboszcza:

— Księżę proboszczu, te panie chcą się widzieć z księdzem proboszczem.

A potem zwracając się do nich dodał:

— Oto on sam, ksiądz proboszcz Longuevalu.

Ksiądz Konstanty zbliżył się i otworzył furtkę. Podróżne wysiadły.

Oczy ich zatrzymały się nie bez zadziwienia, na tym młodym oficerze tuż obok stojącym, zmieszanym nieco, z ogromym kapeluszem słomianym w jednem a salaterką pełną sałaty w drugiem ręku.

Obie kobiety weszły do ogródka: najstarsza z nich, zdawała się mieć lat około dwudziestu pięciu. Zwracając się do księdza Konstantego, rzekła z lekkim akcentem cudzoziemskim, szczególnym lecz pełnym miłej oryginalności.

— Jestem zmuszona, szanowny księżę proboszczu, sama się zaprezentować. Jestem pani Scott. Ja to wczoraj, stałam się właścicielką zamku, fermy i wszystkiego wokoło. Ale proszę mi powiedzieć, księżę proboszczu, czy nie przeszkadzam w czemkolwiek i czy możesz poświęcić nam kilka minut?

Potem wskazując swą towarzyszkę:

— Miss Bettina Percival... moja siostra, odgadłeś to już pan zapewne? My tak do siebie jesteśmy podobne, nieprawdaż? Ach! Bettina, zapomniałyśmy w powozie obu naszych woreczków, a będą nam potrzebne.

— Zaraz je przyniosę.

Ponieważ miss Percival chciała odejść po owe woreczki, Jan się odezwał:

— Niech pani raczy pozwolić, pójdę po nie.

— Bardzo mi przykro, że pan chcesz się trudzić po to. Służący odda je panu, leżą na przodzie.

Miała w mowie tenże sam akcent co i siostra, duże oczy czarne, śmiejące się i wesołe i takież same włosy, wcale nie czerwone, ale jasno blond ze złotym odcieniem. w których zlekka igrało światło słoneczne. Skłoniła się Janowi z uprzejmym uśmiechem a ten oddawszy salaterkę Paulinie, wyszedł za furtkę po oba woreczki.

Przez ten czas, bardzo wzruszony, bardzo pomieszany, ksiądz Konstanty wprowadzał do jedynej izby probostwa, nową właścicielkę zamku i majątku Longueval.

III.

Nie było wcale pałacem probostwo w Longueval. Jedna, niewielka izba, służyła za salon i pokój jadalny, oddzielona od kuchenki drzwiami zawsze szeroko otwartemi, umeblowanie jej było jak najskromniejsze: dwa stare fotele, podarte i wypłowiałe, sześć krzeseł słomą wyplatanych, szafka kredensowa i stół okrągły. Już na tym stole, Paulina położyła dwa nakrycia, dla proboszcza i dla Jana.

Pani Scott i miss Percival chodziły i kręciły się po pokoju, przyglądając się z dziecinnem zajęciem gospodarstwu proboszcza.

— Ależ i ogródek i domek, wszystko takie miłe — odezwała się pani Scott.

I obie żwawo weszły do kuchni. Ksiądz Konstanty szedł za niemi, zdziwiony, zakłopotany, nawet przestraszony nieco tym najazdem amerykańskim. Stara Paulina ponuro i z niepokojem patrzyła na cudzoziemki.

— A więc to one — mruczała pod nosem — te heretyczki! te potępione!

I trzęsącemi się rękami, ruchem przyspieszonym, machinalnie sałatę swą przyprawiała.

— Winszuję pani — rzekła do niej Bettina — kuchnia ślicznie utrzymana; jak tu czysto, jak wszystko na swojem miejscu! Patrz, Suzie, czyż nie o takiem marzyłaś probostwie?

— I proboszczu także — dodała pani Scott. — Ach! tak, księżę proboszczu, pozwól mi to powiedzieć. Gdybyś wiedział, szanowny proboszczu, jak jestem szczęśliwą żem was znalazła takim jakim jesteście! W wagonie, dzisiejszego rana, czyżem tego nie mówiła, Bettino, i jeszcze przed chwilą w powozie?

— Siostra mi mówiła, księżę proboszczu, że tego najbardziej pragnęła, ażeby mieć proboszcza niemłodego, nie smutnego i niezbyt surowego, proboszcza o białych włosach, z wyrazem dobroci i łagodności.

— Zupełnie tak jak wy jesteście, księżę proboszczu — pochwyciła pierwsza — ale to najzupełniej! Wybaczcie mi, że tak mówię. Wasze Paryżanki umieją swoim słowom nadać obrot zręczny i skomplikowany. Ja tego nie umiem wcale i miałabym, mówiąc po francuzku, niemało trudności w wypowiedzeniu mych myśli, gdybym nie mówiła, ot tak, po prostu, wszystkiego co mi do głowy przychodzi. A więc jestem szczęśliwą, bardzo szczęśliwą i mam nadzieję, że i wy, księżę proboszczu, będziecie kontenci, bardzo kontenci ze swych parafianek.

— Z mych parafianek! — odezwał się poczciwy księżyna, odzyskując mowę, ruch, życie, słowem wszystko co go już było opuściło. — Moje parafianki!... Darujcie mi... panie... jestem tak wzruszony!... Czyżbyście były... katoliczkami?

— A jakże! jesteśmy katoliczkami.

— Katoliczki! katoliczki! — ścicha wyszeptał ksiądz Konstanty.

— Katoliczki!... — wrzasnęła Paulina, ukazując się na progu kuchni, cała rozpromieniona i z rękami ku niebu wzniesionemi.

Pani Scott patrzyła to na proboszcza, to na Paulinę, zdziwiona iż jednem słowem takie wywołała wrażenie. Jeszcze dla uzupełnienia obrazu, zjawił się Jan, przynoszący oba podróżne woreczki. Proboszcz i Paulina powitali go tymże wyrazem:

— Katoliczki! katoliczki!

— Ach! rozumiem — śmiejąc się rzekła pani Scott — to nasze nazwiska, nasze pochodzenie! Myśleliście, że jesteśmy protestantkami. O! wcale nie! nasza matka była rodem z Kanady, pochodzenia francuzkiego i katoliczka, dlatego to ja i moja siostra, mówimy wcale nieźle po francuzku, wprawdzie z pewnym akcentem i niektóremi zwrotami amerykańskiemi, ale zawsze tak, że możemy wypowiedzieć wszystko co chcemy. Mój mąż jest protestantem, ale zostawia mi zupełną swobodę i moje dzieci, których mam dwoje, wychowuję w wierze katolickiej. To też dlatego chcieliśmy, szanowny księżę proboszczu, zaraz pierwszego dnia, złożyć mu nasze uszanowanie i z wami się poznać.

— Dlatego głównie i jeszcze dla innej sprawy — pochwyciła Bettina — ale dla tej drugiej rzeczy już nasze woreczki są niezbędne.

— Oto są one — odpowiedział młody oficer.

— Ten to mój.

— A to mój.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA

ZE LWOWA.

Matejko i Siemiradzki. — Olesko. — P. Pryliński i jego prace nad zamkiem na Wawelu. — Odkrycie przez p. Szaraniewicza starożytnego Halicza. — Towarzystwo *Agudas Achim*. — Projekta reformy *Koła literackiego*. — *Macierz polska*. — Książeczka księdza D-ra Jana Siemieńskiego. — Nasi rzemieślnicy i wystawa drzewna.

Wiadomo że Matejko ofiarował krajowi swój obraz *Hołd pruski*. Sejm wyraził natychmiast podziękowanie mistrzowi i uchwalił utworzenie stypendyum imienia Matejki dla najlepszego ucznia krakowskiej szkoły sztuk pięknych. Bardzo to słusznie, ale zapomniano o Siemiradzkim, który rownież piękny dar krajowi uczynił dając swoje *Pochodnie Nerona*. Czyżby nie wypadało uchwalić dwa stypendya za dwa jednako piękne czyny? To zapomnienie o Siemiradzkim budzi jakiś niesmak i zadziwienie.

Na cześć Matejki dał marszałek wieczór na którym było przeszło 400 osób. Co tylko Lwów ma wybitniejszego zgromadziło się w salach gmachu sejmowego, gdzie po raz pierwszy ukazały się damy. Na ten tłum różnobarwny spoglądały uroczyste poważne postacie obrazu *Unii* zawieszonego w głównej sali. Coby sobie pomyśleli ci dygnitarze patrząc na dzisiejsze pokolenie, na tych wyfraczonych potomków i miłośników Taaffego?

Donosił już Tygodnik o zakupnie ruin Oleska. Niedbalstwo nasze sprawiło, że niewiele z tego pamiętnego gmachu zostało. Wyprzedano bowiem dawniej wszystko, co się dało, nawet marmury i żelaziwo, Po skończeniu posiedzeń sejmowych, pojechał marszałek obejrzeć te zwaliska i wziął z sobą architektę p. Prylińskiego, restauratora krakowskich Sukiennic. P. Pryliński ma dać projekt nietylko restauracyi ale i odnowienia choć częściowego tej kolebki Sobieskiego Jana. Zaręczają, że Wojciech hr. Dzieduszycki zebrał był już poprzednio 15,000 zlr. a po jego energii spodziewamy się, że i resztę łatwo zbierze i tym sposobem uratuje od zniszczenia pamiętny ten zamek.

P. Pryliński przyjeżdżał tu dla przedstawienia Sejmowi swych prac odnoszących się do restauracyi Wawelu. Są to roboty przedwstępne, które półtora roku samemu artyście i kilku pomocnikom zajęły, a które miały na celu zebranie wszelkiego materyału, mogącego służyć architekcie do stworzenia projektu restauracyi zamku w duchu i stylu w jakim mógł być budowany w XVI w. Należało więc odszukać i zgromadzić wszystko, co zamek jeszcze zawiera. Tego właśnie dokonał p. Pryliński. Stropy zatem, odrzwia, kominki, gzemsy, kapitele, okna, wewnątrz i zewnątrz, każda ozdoba, każdy szczegół, nawet ułamki, że nie powiem okruchy, zostały odrysowane lub odfotografowane i z największą starannością zastawione. Na tej podstawie odrzuciwszy to, co ręka barbarzyńska pododawała, dodawszy, co zniszczyła, opierając się na dokumentach wszelkiego rodzaju, podał p. Pryliński idealny obraz takiego zamku, jakim być musiał sądząc po pozostałościach. Musimy oddać najwyższe pochwały za wykonanie iście artystyczne.

Rysowanie prześliczne, co nas wielką radością napawało, bo dowiodło, że mamy znakomitych rysowników, którym tylko potrzeba pola, aby swe zdolności okazać mogli.

Plany te i rysunki w dwóch albumach wielkości 2-ch metrów kwadratowych odeszły do kancelaryi cesarza. Sądzimy, że dopiero teraz konkurs na projekt będzie napisany.

Ruiny Oleska i Wawel naprowadzają nas na ciekawe nader odkrycia przez D-ra Szaraniewicza, prof. lwowskiego uniwersytetu zrobione. Staranne badanie pismiennych pomników wpadło w tego uczonego myśl, że Halicz dzisiejszy nie jest wcale Haliczem starym, stolicą książąt halickich. Pomimo zdania innych badaczy wziął się p. Szaraniewicz do poszukiwań na gruncie i odkopał obszerne bardzo fundamenta gmachów murowanych, z których jedne były świątyniami, inne świeckiemi budowlami. Sejm wyznaczył subwencyą na dalsze prace. Kto wie, czy się nie uda p. Szaraniewiczowi spotkać drobnych zabytków z 12 i 13 wieku, które nie jedną stronę życia ówczesnego rozjaśnią. Wiele w tego rodzaju poszukiwaniach mogłoby uczynić istniejące we Lwowie *Towarzystwo archeologiczne*, które wszakże samo jest archeologicznym zabytkiem, bo go nikt znaleźć nie może. Oby tak nie zasnęło Towarzystwo *Agudas Achim* (przymierze braci). Wzięło ono sobie za zadanie wyplenić najszkaradniejszego rodzaju germanizm z pośród żydowskiej ludności. Załączam odezwę, która najlepiej objaśni o celach towarzystwo. Nadmieniam, że tu o niemieczczyznie nie wspomniano z łatwo zrozumiałych powodów.

„W czasach, gdy oświata ludu przez mężów powołanych i przez kraj cały uznaną została za pierwszorzędną i jak na dziś najważniejszą część pracy, gdy cały naród rozpoczął systematyczną w tym względzie działalność, nie można zapomnieć o znacznym odłamie ludności krajowej, który po większej części daleki od oświaty, małe dla kraju przynosi korzyści, a na który działać jest zarówno obowiązkiem obywatelskim, jak oświecanie ludu wiejskiego.

Żydzi polscy, mieszkający w Galicyi, w liczbie 600,000, posiadają wysoką inteligencyą, obrotność, przenikliwość i zdolności, które racyonalnie kierowane, przysporzą krajowi sumę korzyści dotychczas nieobliczonych na polach nauki, przemysłu i gospodarstwa.

Aby jednak osiągnąć cel ten, musimy poprowadzić żydów na tory obywatelskości, realnej pracy i oświaty.

Zadanie to objęło Towarzystwo „Agudas Achim" (przymierze braci), założone przez redakcyą „Ojczyzny" i kilku obywateli."

Wielki cel, jaki sobie przepisało Towarzystwo i znana ofiarność obywateli naszych w sprawach, gdy idzie o dobro kraju, nie pozwalają nam wątpić, iż współobywatele nasi licznem przystąpieniem do Towarzystwa zechcą poprzéć cele tegoż moralnie i materyalnie i że dopomogą w ten sposób pracy dążącej do oddania ojczyznie stu tysięcy prawych obywateli.

Po wakacyjnej przerwie *Koło literackie* lwowskie odbywało walne zebranie na którem wybrano nowy Wydział na rok bieżący 1882/3. Prezesem został ks. Roman Czartoryski, były prezes koła polskiego w parlamencie berlińskim, wice-prezezem prof. uniw. Roszkowski, skarbnikiem Bernard Goldman, poseł na sejm, izraelita, do wydziału weszli: Szachowski, sekretarz uniwersytetu, Amborski, prof. jęz. i lit. fr. w szkole politechnicznej i uniwersytecie, Wilczyński Albert, autor *Kłopotów starego komendanta*, Lewicki Anatol.

prof. gim. autor *Obrazów historycznych Przemyśla*, sekretarzem obrano Władysława Belzę.

Na pierwszem zaraz następnem posiedzeniu *Koła* objawiły się różne dążności: celu swego *Koło* dopięło, bo zgromadziło rozpierzchłe żywioły, zbliżyło je, doprowadziło do wzajemnego zapoznania się a wykluczeniem podejrzanej wartości bazgraczy podniosło w opinii literatów i dziennikarzy, którzy we Lwowie niekoniecznie wielkiem cieszyli się uznaniem. Dziś przyszła pora iść dalej. Powstał projekt, obok zwykłych urzędowo-naukowych zebrań, urządzenia tygodniowych zgromadzeń towarzyskich, dalej projekt utworzenia kassyna, potem utworzenia w *Kole* sekcyi, żeby w system ująć prace *Koła*, nakoniec wydawania literacko-naukowego czasopisma. Projekta te oddane będą do rozpatrzenia osobnej komisyi dodanej wydziałowi do pomocy. Jest nadzieja, że *Koło literackie* przyjmie je, rozpocznie nowe życie i przyczyni się do wznowienia ruchu umysłowego we Lwowie. Prawda, że ciało to jest przedmiotem napaści albo rewolwerowiczów, albo wiekuiście małoletnich bazgraczy, albo takich, co wszystko ganią a sami nic nie robią, bo do niczego innego tylko do ganienia zdolni.

Dosyć czynnie krząta się *komitet do wydawania ludowych książek*. Wyszło dotąd kilka książeczek bardzo zręcznie napisanych i mających wielkie między ludem powodzenie, tem więcej, że są drukowane i po polsku i po rusińsku.

Ze swej strony *Macierz polska*, ukończywszy prace wstępne, przystępuje do działania. Pierwsze wspólne posiedzenie obu Rad t. j. Nadzorczej i Wykonawczej doprowadziło do zupełnego porozumienia co do celów i kierunków. Rada Wykonawcza otrzymała, wedle sprawozdania w dziennikach ogłoszonego, 2,000 złr. na rok bieżący. Te środki pozwalają jej rozpocząć czynności, zamawiać u autorów prace i ogłaszać konkursa. Podobno drukuje się już kilka książeczek, a jak nam zaręczano, wkrótce ogłoszone będą odpowiednie konkursa. Z 2,000 złr. wiele uczynić nie można, dlatego byłoby pożądanem, żeby ogół przyczynił się nadsyłaniem większych funduszów do rozwoju tej ważnej instytucyi.

W duchu prac nad ludem jest książeczka, którą ogłosił ksiądz Jan Siemieński pod tytułem: *Luźne pogadanki o ludzie miejskim i wiejskim.* Właściwie treścią tej broszurki są sprawy naszych miasteczek. Może trochę bezładnie pisane, *Luźne pogadanki* zawierają bardzo wiele słusznych uwag, spostrzeżeń i przykładów. Między innemi ks. Siemieński chce dowieść, że najważniejszym czynnikiem w pracy mającej podnieść stan moralny i materyalny naszych małomieszczan jest duchowieństwo. Wykazuje przykładami, że wszędzie gdzie kapłan szczerze się zajmował parafianami, w krótkim stosunkowo czasie wykorzenił pijactwo, lichwę, wszędzie podniosła się pracowitość, porządek a zatem i byt materyalny, ogółem moralność i zasobność.

Broszurka zasługuje na jak największe rozpowszechnienie, może zdrowe myśli w niej zawarte nakłonią duchownych do czynniejszego zajęcia się stanem materyalnym naszego pozbawionego opieki ludu.

Łatwemby zdaje się nam było dla księży zakładać czytelnie, urządzać czytania wieczorne, nakłaniać do wkładek do kas oszczędności, starać się o utworzenie kas zaliczkowych, gospód chrześciańskich i t. p. środków, które oświatę, moralność i dobrobyt podnosić mogą.

A nietylko nad naszemi małemi miasteczkami pracować trzeba, bo i wielkie nawet mają ludność mieszczańską niezmiernie zaniedbaną. Sam Lwów jest tego rażącym dowodem: na 110,000 mieszkańców jest jeszcze blizko 40,000 nieumiejących czytać. Na liczbę zaś umiejących czytać i pisać ileż jest ciemnych, nie rozumiejących własnego interesu, że już nie mówimy o pojęciu obowiązków szerszych spraw ogólniejszych.

Muzeum przemysłowe lwowskie postanowiło urządzać co rok wystawę kolejną rozmaitego rodzaju wyrobów przemysłu domowego i rzemieślniczego. Na ten rok ogłosiło urządzenie wystawy drzewnej, to jest wszelkich wyrobów z drzewa, kory, łyka, sitowia, wikliny i t. p. Jak ważna, jak doniosła w skutkach byłaby ta wystawa, zbytecznem jest mówić.

Dziennikarstwo poparło energicznie zamiary zarządu muzealnego i po kilku miesiącach z całej Galicyi 6,000,000 mieszkańców liczącej zgłosiło się z chęcią wystawienia swych wyrobów *sześciu* wyraźnie 6 producentów, t. j. jeden na milion. Najjaskrawszy to dowód ciemnoty, niedołęstwa lub niedbalstwa.

Rzecz jasna, iż wystawa do skutku nie przyszła. Obowiązkiem wszakże dziennikarstwa podnieść tę sprawę i tak ją rozjaśnić, tyle razy do niej wracać, aż nasi rzemieślnicy pojmą dokładnie ważność wystaw i sami się zwrócą do muzeum o urządzeniena rok przyszły expozycyi, któraby siły kraju w tym kierunku wykazała.

NOWE WYDAWNICTWA.

Wyszła z druku książka pod tytułem *Badania porównawcze w dziedzinie języka*, przez L. Szczerbowicza-Wieczora, do nabycia w Warszawie w księgarniach Gebethnera i Wolffa i Maurycego Orgelbranda, w Płocku u autora. Cena z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Elementarz Kazimierza Pvomyka na którym nauczysz się czytać w pięciu lub ośmiu tygodniach, wyszedł z druku w ośmnastem wydaniu, co jak u nas pierwszy raz zapewne ma miejsce. Tym sposobem rozeszło się go już 145,000 egzemplarzy. Jakże to wielce pocieszające!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan Jankowski poruszył w „Ogrodniku polskim” myśl urządzenia w Warszawie targu na kwiaty i rośliny, jakiego dotąd miasto nasze w *rzeczywistości* nie posiada, bo urządzany za Żelazną bramą wśród kramików i błota, a co gorzej zatruty odorem nieświeżych ryb i różnych rozkładających się odpadków, oraz w niedzielę na Zapiecku, samem umieszczeniem odstręcza tę właśnie publiczność, ktoraby ogrodnikom największe zapewniała korzyści. Dalej sprzedaż krzewów i kwiatów w miejscowościach tych jako urządzana pod gołem niebem w lecie tylko odbywać się może, i kwiaty niesprzedane detalicznie do południa, ogrodnicy sprzedają hurtem kramarzom, co pozbawia ich należytego zysku i odstręcza od dostawiania na targowisko. Tak więc sprzedaż kwiatów w obecnych warunkach jest niedogodną dla publiczności, a ogrodników pozbawia możności zarobku.

Otóż, ponieważ magistrat zamierza podobno w r. p. przenieść targ z za Żelaznej bramy do hali mającej być urządzoną na placu zajętym obecnie pod Koszary Mirowskie, przeto „Ogrodnik polski” proponuje aby na opustoszonym placu zbudować wielką rotundę z dwiema do niej przytykającemi szklarniami. Szklarnię podzielić na oddziały po dwóch stronach drogi idącej przez środek, a resztę placu zamienić na skwer. W rotundzie i szklarniach ześrodkuje się cały handel ogrodniczy z wyjątkiem warzywnego; pierwszą przeznaczyć na sprzedaż kwiatów i owoców, drugie wynająć ogrodnikom na sprzedaż roślin. Taka „halla” ogrodnicza dając sposobność zbytu przyczyniłaby się do rozwoju działalności ogrodniczej, powiększając zarazem dochody miasta, a nadto przyczyniłaby się niemało do ozdoby części miasta położonej tak blizko ogrodu Saskiego, a dotąd nader zaniedbanej.

*** Nader sympatyczne pismo „Biesiada Literacka” w każdym numerze zamieszcza parę trafnych i zajmujących pytań, na które w następnym zamieszcza odpowiedzi. Jest to rubryka bardzo dobrze pomyślana i prowadzona. Pozwalamy sobie powtórzyć tu odpowiedź na zapytanie:

— Jakie powinno być wychowanie kobiety średniego stanu?

„Cordelja, znana zaszczytnie autorka włoska, pisząc o związkach małżeńskich w średniej klasie, mówi: Jeden z wielkich poetów starożytności nazwał „mierność” złotą, czego nie można jednak stosować bez zastrzeżenia do społeczeństwa, w którem owa klasa mierna czy średnia, nie zawsze najkorzystniej uposażoną bywa. W tejto właśnie klasie napotykamy najnieumiarkowańsze pragnienia, największą ilość niezadowolnionych, zwichniętych, nieszczęśliwych poczynając od biednego urzędnika, który gorzej wynagradzany od rzemieślnika, ma większe od niego potrzeby, aż do bogatego kupca, który opływając nawet w dostatek, nie przestaje trapić się dobrowolnie żądzą posiadania coraz większego bogactwa. W średniej klasie wrze ustawicznie współzawodnictwo wybicia się na wierzch, by dosięgnąć szczytu drabiny i spaść z niej jak ów rozbitek, co im bardziej boryka się z falą, tem więcej słabnie i w przepaść się pogrąża. W średniejto klasie napotykamy tyle miłych i sympatycznych dziewcząt osiadających na koszu z braku posagu i tylu młodych ludzi polujących na posagi dla polepszenia swego położenia, a stroniących od związków małżeńskich, nieprzedstawiających korzystnych widoków. Mają oni o tyle słuszność iż żona w ich położeniu, jeżli im nic z innej strony nie przyniesie, jest zbytkiem tem niebezpieczniejszym, im śmieszniejsze jest zwykle wychowanie córek w średniej klasie. Owa niedorzeczna mania zapatrywania się na stojących wyżej, sprawia, że w wychowaniu córek naśladujemy bogatych, i kładziemy główny nacisk na elegancyą, znajomość języków, wykształcenie muzyczne i salonową ogładę. Gdybyśmy natomiast nazwyczajali córki do życia pracowitego, z pewnością nie byłyby takim postrachem dla mężczyzn. Dziewczyna niemająca posagu, powinna być wtajemniczoną we wszystkie gospodarskie zajęcia, i znać trudną sztukę robienia wiele z małego.

Sztuka zachowania co się posiada, niewydania jednego grosza bez potrzeby, robienia drobnych oszczędności i utrzymania domu i mieszkania w należytym porządku, daleko większą ma wartość dla ubogiej panienki, niż wyćwiczenie w obcych językach, w życiu praktycznem dalej z tem zajdzie niż z pozorami artyzmu. Dziewczęta tego rodzaju rzadkie jak białe kruki, i dlatego mo-

że tak rzadkiem jest w tej klasie szczęśliwe pożycie małżeńskie.

Ale chcąc dojść do tego celu, kobieta musi uzbroić się w heroizm: musi oprzeć się pokusie uciech pozadomowych, skupić w ognisku domowem wszystkie swe pragnienia, unikać towarzystw, w których zamożność tak chętnie roztacza swój pawi ogon. A jeźli już położenie jej towarzyskie zmusi ją do przestąpienia wyższych progów, powinna mieć odwagę stanąć w nich w majestacie skromności, z którą z pewnością więcej jej będzie do twarzy, niż w błyszczącym stroju— okupionym kosztem domowego spokoju.

Możnaby powiedzieć, że w tym stanie, więcej niż w innym, ostateczności się stykają, że obok rodzin wzorowych, napotykamy najwstrętniejszy bezład. Z jednej strony szalone wydatki, długi, nędza w powozie i w białych rękawiczkach, niesnaski rodzinne—z drugiej porządek, spokój i wygoda, dzięki czynności i rozumowi kobiety. Mamy rodziny artystów, literatów, lekarzy, kupców, urzędników, w których dom cały zostaje pod inteligentnym zarządem kobiety; ona myśli o wszystkiem, obraca udzielanemi przez męża pieniędzmi, a obraca tak mądrze, iż grosz zdaje się rosnąć w jej ręku. Bierze na siebie drobne kłopoty domowe, byle nie odrywać męża od zajęć, a nawet pomaga mu w nich o ile może. Gdybyście wiedziały, Czytelniczki, ile to kobiet przyłożyło inteligentną swą rączkę do pracy mężów — nie roszcząc pretensyi do innej chwały, prócz pieszczoty lub uśmiechu swojego towarzysza!

Dlatego żywo pragnąć należy, aby matki średniego stanu, w którym potrzeby są w odwrotnym stosunku do środków, zamiast nazwyczajać córki do próżnowania, nazwyczajały je do życia pracowitego, żeby nietylko umiały zająć się domem ale i po za nim radzić sobie. Wówczas mężczyzna, nie ulęknie się panienki bez posagu. A jeźli nawet przyjdzie jej żyć samej, to umiejąc zapracować na siebie, nie będzie czuć się nieszczęśliwą. Poślubiwszy pracę, znajdzie w niej wierną towarzyszkę, która osłodzi trudy, da niezależność i spokój."

*** Nader ważny projekt przedstawiono do zatwierdzenia prezydentowi Francyi. Chodzi o założenie dwudziestu domów czyli raczej osad roboczych dla dzieci robotników paryzkich w 20-tu dzielnicach Paryża. Każda osada ma być urządzona dla 500 chłopców i 500 dziewcząt, w wieku od lat 3 do 6, a dzieci pozostawać w nich mają aż do 21 roku życia. Utrzymanie jednego dziecka kosztować ma dziennie 60 centimów, licząc wogóle wydatki na zawodową naukę, żywność i odzież. Przy opuszczaniu zakładu, każdy jego wychowanek otrzyma premię assekuracyjną na 2,500 fr. Rząd francuzki nadzwyczaj gorliwie zajmuje się tym projektem, którego urzeczywistnienie nastąpić ma w niedługim czasie.

*** Ajenci paryzkiego towarzystwa oświetlenia elektrycznością, zachęceni powodzeniem robionych u nas prób, zamierzają utworzyć w Warszawie oddzielne towarzystwo dla Królestwa Polskiego, i w tym celu rozpoczęli już odpowiednie starania na właściwej drodze. Kilka już fabryk warszawskich postanowiły zaprowadzić lampy Edison'a, zaś w obrębie Cesarstwa, a szczególniej w Finlandyi, oświetlenie to zaprowadzono już w kilkunastu zakładach przemysłowych, które zużywają około 3,000 lamp.

Zagrożeni coraz silniejszem współzawodnictwem światła elektrycznego, fabrykanci gazu, starają się jak najgorliwiej podwyższać ile możności siłę światła gazowego. Obecnie chwytają się zasady Incandescencu tworzącej podstawę lamp Edisona; pan C. Clamont w Paryżu obmyślił sposób zastosowania jej do fabrykacyi gazu. Podług jego systemu, można zużywać ciepło palącego się gazu, rozpaliwszy rodzaj plecionki z magnezyi, przez co gaz traci swój charakter jako materyał oświetlający i występuje jako doskonały materyał opałowy. Taka plecionka płonie przez 40 godzin, potem bardzo łatwo da się zastąpić inną. Wytworzone światło ma wszystkie własności światła elektrycznego; nie chwieje się, ma nieco żółtawą barwę trzymającą środek pomiędzy białem światłem słonecznem a żółtym płomykiem gazowym.

*** "Petit Journal" donosi, iż cesarz brazylijski, Don Pedro, przeczytawszy jeden z poematów Mickiewicza w przekładzie francuzkim, tak został nim zachwycony, iż obecnie uczy się po polsku aby mógł poznać w oryginale utwory genialnego wieszcza.

*** Niektóre dzienniki zagraniczne starają się na der gorliwie o rozpowszechnienie i spopularyzowanie projektu, aby zarówno jak listy opłacają obecnie jedno porto bez względu czy są wysełane o kilka, kilkadziesiąt lub kilkaset mil, tak i od osób jeżdżących kolejami żelaznemi, pobierano tylko jedno 25-centowe porto, bez względu na rozmiary podróży. Wiedeńska „Allgemeine Ztg." wyrachowała, że przewiezienie jednej osoby którąbądź klasą z Wiednia do Tryestu, kosztuje Tow. kolei Południowej, coś około 15 c. Proponuje zatem aby kolej ta naznaczyła jednaką opłatę 25 centów za podróż do Wiednia czy do Tryestu lub którejkolwiek z pośrednich stacyi, to jest z zyskiem niemal sto za sto. W rozwinięciu projektu, dziennik ten proponuje, aby wogóle w całej Austryi oznaczyć jedno porto od osób, tak samo jak pobiera się jedno porto od listów, bez względu na odległość czy jedną przejadą stacyą, czy od jednej do drugiej granicy monarchii.

Projekt ten z pierwszego razu wyda się dziwnym, niemal niemożebnym, tak jednak nie jest w rzeczywistości. Tak samo osądzono w początkach projekt zniżenia i ujednostajnienia porto od listów, dziś jednak cały świat ucywilizowany przyjął ten system, a dochody poczt nie tylko odnośnych rządów nie naraziły na straty, ale olbrzymio wzrosły. W Anglii i we Francyi oddawna już pracują nad wprowadzeniem go w życie, i niewątpliwie prędzej czy później urzeczywistniony zostanie.

W każdym razie, agitacya prowadzona przez prasę zagraniczną pod hasłem „porto od osób" zasługuje na poparcie, gdyż nietylko myśl tę spopularyzuje i doprowadzi do urzeczywistnienia ale nim to nastąpi, wpłynie na dyrekcye kolejowe do obniżenia ceny biletów, w stosunku choć cokolwiek odpowiednim do kosztów transportu.

*** Jeden z chemików wiedeńskich wynalazł nowy rodzaj szkła, niezawierającego w swym składzie ani jednej z tych materyi, z jakich składa się szkło powszechnie używane. Jest podobne do kryształu, tylko posiada więcej połysku, jest doskonale przezroczyste, można je ciąć i polerować. W stanie płynnym łączy się z żelazem, cynkiem i bronzem.

*** Amerykański zegarmistrz Buch zbudował najmniejszą w świecie maszynę parową. Według poważnego czasopisma angielskiego, waży ona 50 gramów, a całą nakryć można naparstkiem. Składa się ze 140 części, złączonych za pomocą 52 śrubek. Dla napełnienia kotła i wprawienia w ruch maszyny, wystarczają trzy krople wody.

*** Austryackie ministertwo wojny zawarło układ ze znanym porucznikiem Teodorem Zubowiczem, o zaprowadzenie w armii austro-węgierskiej, wynalezionych przez niego torped lądowych. Według Dz. pol. torped Zubowicza jest przyrządem osobliwym, przeznaczonym do zupełnej zmiany dotychchczasowego sposobu prowadzenia wojny, albowiem czyni możliwem podłożenie min nader skutecznych, w bardzo krótkim przeciągu czasu, i bez fachowego przygotowywania do tego żołnierzy. Sześćdziesięciu ludzi może w przeciągu kwadransa zamknąć drogę na długość kilometra. Łatwo więc pojąć jakie korzyści wynalazek ten zapewnia podczas wojny. Torpedy te nie wymagają wielkiego kosztu. Próby z niemi już od siedmiu lat odbywano, a obecnie po najściślejszych doświadczeniach, ministeryum wojny postanowiło wprowadzić je w armii. Po raz pierwszy na placu boju użyto ich przeciw Krzywoszanom, z najlepszym rezultatem.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami oraz dla prenumeratorów na pocztę — Prospekt na pismo tygodniowe p. t. „Rola".

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 17 Ноября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 48, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

— Strasznie ciężki ciężar zrucasz z mego sumienia, odpowiedział. Małżeństwo moje było wynikiem fatalnej konieczności paryzkiego życia. Pewnego dnia znalazłem się w tak okropnem położeniu, iż musiałem wybierać między szczęściem a honorem... miałem długi, których zapłacić nie mogłem — czyniąc zadość honorowi, wyrzekłem się szczęścia... poświęciłem miłość dla uchronienia nazwiska od zmazy... Oto co chciałem powiedzieć ci, Klaro.

— Innemi słowy, pan Moulinet wyzwolił cię z trudnego położenia, i przez wdzięczność zaślubiłeś jego córkę... z kilku milionami posagu... No, przyzna książe to ofiara bardzo miła... A potem, jeźli dobrze go zrozumiałam, pociechą w tej ciężkiej próbie, staje się dla ciebie poczucie spełnionego obowiązku... Powinieneś więc być szczęśliwym... co mnie cieszy niewymownie...

Książę drgnął, dotknięty tem szyderstwem.

— A ty, Klaro, jesteś szczęśliwa? zapytał nagle.

— Pan jeden nie masz prawa pytać mnie o to, odrzekła dumnie.

W tej właśnie chwili księżna wracała z Filipem do salonu. Książę ruchem głowy wskazał jej Filipa prowadzącego Atenais, a widząc że zmięszała się i zbladła, orzucił ją szyderskiem spojrzeniem, mówiąc:

— Zasługujesz być więcej kochaną.

I ukłoniwszy się odszedł.

Klara zadrżała na myśl że może książę odgadł jej tajemnicę. Powątpiewał więc o szczęściu które ceną ciągłej skrytości i udawania okazywać pragnęła. Przeczuwała jakie zagrażają jej niebezpieczeństwa jeźli książę zapragnie zyskać jej względy; przeszkodzi jej to w pozyskaniu serca męża, i może nie zdoła zapobiedz aby Filip zabiegów księcia nie wziął sobie za zniewagę i nie chciał pomścić się za nią... A i sama, zmuszona odpierać natrętnego zalotnika, czyż będzie miała dość swobody umysłu aby skutecznie obalać sidła, jakie Atenais zaczyna zastawiać na Filipa?...

Postanowiła uciekać co prędzej, i w tym celu skinęła na męża który przybiegł natychmiast. Prosiła aby kazał zajechać, i przerywając czułe zapewnienia Atenais i zimno ukłoniwszy się księciu, tak prędko pociągnęła z sobą Filipa, jakby pożar powstał w pałacu.

Wsiadłszy po powozu toczącego się po twardej drodze, wśród jasnej pogodnej nocy, zdawało się Klarze iż została ocaloną. Wtedy zwracając się do Filipa, odważyła się zapytać:

— Jakże znajdujesz księżnę?

— Zachwycająca... odrzekł z roztargnieniem.

Zasunęła się w kąt powozu z gniewnym ruchem, którego jednak Filip nie dostrzegł w ciemności. Usłyszała tylko wyraz: zachwycająca, nie zwracając uwagi z jak głęboką wypowiedział go obojętnością.

— Nie powrócimy już nigdy do la Varenne, pomyślała — za wieleby mnie to kosztowało.

W tejże samej chwili, Filip zatopiony w głębokiej zadumie, miał przed oczami wykwintną postać księcia, jak pochylony za krzesłem Klary, ze zdradzieckim uśmiechem czułe słówka szeptał jej do ucha. Paliło go w gardle, oczy patrzyły groźnie, zacisnął silne swe pięście.

I rzeczywiście nie bywali odtąd w la Varenne; we dwa tygodnie, wywzajemniając się, wydali obiad dla Moulinet'a, księcia i księżnej, odmawiając wytrwale wszelkich ich najnatarczywszych zaproszeń.

Rozzłoszczona tem Atenais, uważała że panu La Brède brak ożywienia, a Tremblays'owi pomysłów. Daremnie na posiedzeniu Towarzystwa rolniczego w okręgu la Varenne, Moulinet wypowiedział sążnistą mowę podczas której jedni pozasypiali a drudzy się śmieli, daremnie Atenais walcowała zawzięcie z okoliczną szlachtą; daremnie puszczano przepyszne fajerwerki, prowadzono gwarne, wesołe i nużące życie, jakie właśnie lubiła — wszystko teraz nudziło ją i gniewało. Nie było pani Derblay, której pragnęła dokuczyć swemi tryumfami.

Margrabina de Beaulieu żyła samotnie w swoim zamku jak smętna synogarlica — noga jej nie postała w la Varenne. Zaczynano zwracać uwagę na ciągłą tam nieobecność państwa Derblay, i różne stąd tworzyć domysły. Baronostwo de Préfont przybyli do Pont-Avesnes, Atenais obawiała się aby idąc za jej radą nie zerwano stanowczo wszelkich stosunków z la Varenne. Trzeba więc było wszelkiemi sposobami przełamać grube lody, zagrażające że lada chwila zamienią się w nieprzebyte lodowce, dzielące oba młode małżeństwa. Przeszkodzić temu mogła tylko jakaś niezwykła zabawa prawie publiczna, na którą zaproszonoby najlepsze okoliczne towarzystwo.

Otóż zabawę taką poddał księżnej La Brède, ani się domyślając jak wielką oddaje jej przysługę. Zaproponował urządzenie tak zwanego *rallye-paper* to jest gonitwy za papierkami w lasach la Varenne i Pont-Avesnes, na które zostaną zaproszone władze cywilne i wojskowe. Wysłane zostaną osobiste zaproszenia do oficerów konsystującego garnizonu, a wszyscy obecni będą mogli dowolnie towarzyszyć polowaniu, czy to konno czy w powozach. Olbrzymi *lunch* urządzony będzie w okrągłej dolinie zwanej des Etangs; słowem będzie to *zabawa sportmańska* o której najniezawodniej nawet dzienniki paryzkie pisać będą.

Ucieszona Atenais, o mało nie uściskała la Brède'a za tak genialny pomysł. Wysłała ojca z zaproszeniami, wszystkim w domu kazała krajać małe papierki, do Pont-Avesnes zaś pojechała sama i wróciła ztamtąd promieniejąca radością, gdyż państwo Derblay przyjęli zaproszenie i obiecali przybyć na zabawę.

XIV.

Dolina des Etangs leży pomiędzy lasami Pont-Avesnes i la Varenne. Roztacza się ona na przestrzeni czterysta do pięciuset metrów, na której po obu stronach ciągną się szeregiem wielkie sadzawki, zarosłe trzciną i szeroko-liściastemi roślinami, których świecące gałęzie rozkładają się na powierzchni wody, jakby uśpione węże. Spragnione orzeźwiającego chłodu, niższe gałęzie dębów pochylają się na wód powierzchnię. Liście corocznie opadające w jesieni, wytworzyły na wybrzeżach gęste bagno, w którem dziki tarzają się codziennie. W zwykłym czasie, biało pomalowane baryery, zamykają rozdroże dwieście metrów szerokie. pokryte piękną gęstą murawą, miękką jak aksamit.

Okrągłą tę dolinę otaczają ogromne buki, o szarych pniach i gęstych liściach, a cień ich wytwarza chłód prawie mroźny. Ośm dróg, dwadzieścia metrów szerokich, dochodzących do rozdroża, ciągnąc się prosto, giną w głębi lasów. Cisza i tajemniczość zaległy w tem ustroniu. Zmarszczona lekko powiewem wietrzyku powierzchnia wód, mieni się w różne barwy skutkiem odbłysku promieni słonecznych, a niebo odbija w niej czysty swój błękit. Dla myśliwych polujących w lesie jest to wyborne stanowisko. Sarny zmęczone gonitwą psów, przychodzą tu ochłodzić w wodzie swe drżące nogi i ukoić pragnienie aby nabrać sił do nowych zapasów. Wtedy myśliwy ukryty na wybrzeżu za którymś z wielkich dębów, znajduje łatwo upragnioną sposobność do zawołania: hallali!

Zachwycony pięknością roztaczającego się tu krajobrazu, pan Moulinet zeszpecił go przez postawienie chińskiego kiosku.

W środku ogromnego rozdroża, ustawiono stoły obsługiwane przez liczną służbę w galowej liberyi, na których znajdowało się wszystko czego tylko goście zażądać mogli. Już od godziny La Brède i nierozłączny jego du Tremblays przebiegali zarośla rozrucając papierki, mające wskazywać ślad, a jednocześnie przecinając drogi, myląc kierunek, aby utrudniać dojście do celu.

Wszystkiemi drogami prowadzącemi do rozdroża przybywali jeźdcy, amazonki, breki i powozy. Jasne toalety kobiet tworzyły różnobarwną mojazkę, a niebieskie dolmany i czerwone pantaliony huzarów odbijały jaskrawo od ciemnej zieleni drzew. Podleśni zielono ubrani trzymali w pogotowiu konie, rżenie ich, dzwonienie ostrogami i huk wyskakujących korków z butelek z szampańskiem winem, rozlegały się po lesie.

Atenais, ubrana w doskonale leżącą czarną amazonkę, trzymając w ręku bogato oprawną czarną szpicrutę, wesoło przyjmowała przybywających, ze swobodą i niezwykłym wdziękiem.

Panie siadały na poduszkach rozłożonych na murawie. Moulinet zagarnął barona którego koniecznie ująć sobie pragnął. Książę przywdział modny strój angielski, czerwony frak, białe skórzane spodnie i aksamitny płaszczyk z kapurkiem, ozdobionym wielką zieloną kokardą. Były to barwy jego herbu. Właściciel kuźnic przywdział zwykły czarny ubiór, szare aksamitne spodnie i takież kamasze.

Klara i baronowa ubrały się jednakowo. w granatowe sukienne amazonki i okrągłe kapelusze z wielkiemi czarnemi piórami. Obiednie prześli-

cznie wyglądały. Baronowa de Préfont drobna ale milutka i powabna, Klara wysmukła i całem obejściem zdradzająca pańskie swe pochodzenie, powszechną zwracały uwagę.

Zuzanna której asystował Oktawiusz, siedziała zajadając biszkopcik maczany w kieliszeczku malaga; podczas gdy Filip z ojcowską troskliwością opatrywał jej wierzchowca, czy dobrze był osiodłany. Bachelin odprzęgał spokojnie swego konia, którego używał i do zaprzęgu i pod wierzch, a następnie, z pomocą leśniczego, zakładał nań przywiezione z sobą siodło. Słońce ozłacało cały las swym promiennym blaskiem, oświecając jasno cały ten uroczy obraz.

— Panie Derblay! zawołała nagle Atenais, opuszczając rozmawiającego z nią tak upragnionego prefekta.

A gdy Filip spokojnie, bez pośpiechu, zbliżał się do niej, dodała:

— Czy nie znajdujesz pan że czas już rozpocząć gonitwę? Już przeszło godzina jak ci panowie oddalili się z papierkami, jeżli jechali prędko, trzeba nam będzie dobrze galopować aby ich dopędzić.

— Przyznam się pani, odrzekł, że nie jestem bynajmniej kompetentnym sędzią, nie wiele się znam na podobnych zabawach—i dla tego nie śmiem oznajmić mego zdania. Racz pani lepiej zwrócić się do pana Pontac, on jako wytrawny myśliwy, pewnie zna się i na tem.

I skinieniem wskazał na wysokiego młodzieńca, ubranego w strój myśliwski ze srebrnemi galonami, w stosowany kapelusz, z nożem myśliwskim u pasa i z trombką á la Dompiere na ramieniu. Jakby czekając tylko tej sposobności, wicehrabia de Pontac zbliżył się prędko do pani de Bligny, i kłaniając się sztywno, niby po angielsku, rzekł:

— Jestem na rozkazy księżnej pani, i jeźli raczy powierzyć mi kierunek polowania, zobowiązuję się iż nim dwie godzin upłynie, panowie La Brède i du Tremblays nie będą wiedzieli co począć. Czy raczy księżna rozkazać abym zatrąbił, na znak rozpoczęcia gonitwy? Mam tu mego strzelca.. Ho! ho! Bistocq!...

Z gromady służby wysunęło się jakieś wielkie dyable, przybrane w wygalonowany kaftan i skórzane kamasze, z wielkim czerwonym nosem na opalonej twarzy, wyglądającym jak leżąca na ziemi poziomka; szedł powłócząc nogą i prowadząc jakąś wielką szkapę, źle bardzo utrzymaną. O sześć kroków od pana de Pontac stanął, i stając w pozycyi żołnierza bez broni, podniósł rękę do czapki, czekając zapytania.

— Czy księżna rozkazuje go wybadać? zapytał wicehrabia.

— A! naturalnie, odpowiedziała Atenais, nader zadowolniona z tak uroczystego zachowania się wicehrabiego.

— Spojrzyj na nią, moja droga, rzekła półgłosem baronowa, zachciało jej się odgrywać rolę jakiejś monarchini.. A ten Pontac tak na seryo biorący swoją rolę... i wszystko to dla gonienia za skrawkami papieru... A! to pocieszne, doprawdy!

— Gonitwa rozpocznie się od la Héromière, gdyż tam rzucono jako znak kawałek papieru, wielkości mojej ręki. Należało położyć całą jaką gazetę, ale widać, panowie ci, obawiali się aby za łatwo nie trafiono na ślad, i dla tego też zwracali się coraz w inne strony... Przebyli zarośla, przeskoczyli Pave-Neuf, puścili się równiną aż do Vente-au-Sergent, wrócili do lasu przez Belle-Empleuse, potem skręcili do Boulottière...

— Dość! dość! zawołał śmiejąc się de Pontac, ileżby to mil drogi odbyć trzeba...

— A to trudne zadanie, rzekł strzelec mrugając jednem okiem, boć przecie ludzka istota nie tak łatwo może naśladować jelenia... No, wyjąwszy chyba głową, dodał dowcipkując, a i do tego jeszcze trzeba wziąść się we dwoje.

Księżna zaczęła się śmiać, i zwracając się do Pontac'a, rzekła:

— Pocieszny sobie człowieczyna, ten pana strzelec. Papo, proszę daj mu luidora... Dzięki jemu, La Brède i Du Tremblays muszą się tęgo uwijać, jeźli nie chcą być prędko zaskoczeni.

— Czy mam zatrąbić na znak rozpoczęcia.

— Trąb, trąb, wicehrabio.

Ująwszy trąbkę lewą ręką, Pontac stanął na środku rozdroża, i nadymając policzki, jakby chciał wstrząsnąć i obalić wszystkie drzewa w lesie, zatrąbił nadzwyczaj głośno.

— Winszuję wicehrabiemu tak znakomitego talentu, rzekła księżna.

— Jest on juz dziedzicznym w moim rodzie, odrzekł z uroczystą powagą. Od trzech wieków wszyscy, z ojca na syna doskonale trąbić umiemy.

I podnosząc głowę z dumą człowieka znającego swą wyższość, wicehrabia zwrócił się w stronę gdzie stał jego wierzchowiec.

Ogólny ruch nastąpił w jednej chwili; jeźdzcy wskakiwali na konie, ciekawi towarzyszący w pojazdach wsiadali do najróżnorodniejszych powozów. Niebawem rozległ się w lesie turkot kół i odgłos kopyt końskich. Bistocq prowadził myśliwych.

— Panie Derblay, rzekła zalotnie księżna, znasz tak doskonale całą okolicę, może zechcesz być tak uprzejmym i zostaniesz moim przewodnikiem. Puśćmy naprzód cały tłum mamy oboje doskonałych wierzchowców, jadąc boczną drogą, wyprzedzimy ich jeszcze.

— Ależ pan de Pontac jest daleko pewniejszym przewodnikiem, odrzekł Filip.

— Nie, odparła, chcę koniecznie żebyś pan jechał ze mną— chyba że mi odmówisz... Ale zdaje mi się że tego się nie dopuścisz.

Filip ukłonił się nie odpowiadając. Klara stojąc o kilka kroków, drżąc z gniewu patrzyła na to śmiałe wyzywanie męża. Łzy stanęły jej w oczach, mimowolnie ścisnęła konwulsyjnie rękę zadziwionej baronowej.

— Wszak jedziesz z nami? zapytała Atenais, zwracając się do Klary.

Ta pochyliła lekko swą zasmuconą twarzyczkę, i odpowiedziała spokojnie:

— O nie! przeceniłam swoje siły, myśląc że będę mogła konno towarzyszyć polowaniu... pojadę powozem...

I orzuciła męża smutnem spojrzeniem, zdającem się błagać aby jej nie opuszczał.

— Może gniewa cię że zabieram twego męża? zapytała Atenais z udaną troskliwością — i śmiejąc się, dodała: Czyżbyś była zadrosną?

— Bynajmniej, odrzekła, nie chcąc zdradzić swej bezsilności i boleści.

— A więc, na koń! zawołała wesoło Atenais, pragnąca uzupełnić swe zwycięztwo.

Klara patrzyła ze ściśnionem sercem na odjazd męża; przez chwilę zamyślała przywołać go i zatrzymać, i mimowolnie prawie, zawołała:

— Filipie!

Odwrócił głowę i prędko wracając do niej, zapytał:

— Czy życzysz sobie czego?... może jesteś cierpiąca?

Gdyby choć słówko powiedziała, mąż prawdopodobnie pozostałby przy niej, i może tym sposobem oboje uniknęliby wielu przykrości, ale duma dotąd potężniejsza jeszcze od miłości, powstrzymała błagalne słówko na ustach Klary. Wstrząsnęła przeczaco głową, i cierpko, z zaciśniętemi ustami, odrzekła niemal pogardliwie:

— Nic mi nie jest... nic nie chcę... Jedź, jedź!

Filip się oddalił; w tej chwili Klara i jego także orzuciła spojrzeniem strasznej nienawiści jaką tchnęła dla Atenais. Ogarnęło ją jedno z tych uniesień gwałtownej żądzy zemsty, jakiem owładnięci dopuszczają się zbrodni.

Księżna wsparła nogę na wale po nad rowem, i uniosła nieco sukni; noga jej obuta w elegancki bucik z gejzowej skórki, wydawała się mała i zgrabna. Skinieniem wskazała panu Derblay na rozpiętą sprzączkę ostrogi; właściciel kuźnic schylił się milcząc, poprawił rzemyk i zapiął sprzączkę. Śmiała i wyzywająca księżna wsparła się ręką na jego ramieniu, jak gdyby oznajmiając tym ruchem objęcie go w posiadanie.

— Cóż to znowu ma znaczyć? szepnęła baronowa, spoglądając na Klarę.

Lecz zobaczywszy ją bladą śmiertelnie i drżącą jak liść, zamilkła.

Podniesiona silnemi ramionami Filipa, księżna wsiadła na koń; ujęła lejce, dumnem skinieniem głowy pożegnała zgnębioną rywalkę i puściwszy konia galopem, jednym skokiem przeskoczyła rów oddzielający rozdroże od lasu. Filip pojechał za nią i za chwilę znikli w gęstwinie lasu.

— Czy chcesz żebym został z tobą? wyrzekł słodko głos jakiś do Klary, która stała nieruchoma, znękana, ścigając wzrokiem niknące w oddali postacie Filipa i księżnej, jak gdyby unosili z sobą jej szczęście i życie. Odwróciła głowę—książę stał obok niej. Stłumiła w piersiach okrzyk gniewu, i zrywając rękawiczki, odpowiedziała ze spuszczonemi oczami:

— Proszę mi dać pokój! chcę być sama.

I biorąc pod rękę baronową, zwróciła się ku stawom, a książę odjechał stępa ku zaproszonym, kierując się odgłosem rogu, dającym się słyszeć z oddali.

Oktawiusz i Zuzanna szli obok siebie powoli zielonem wybrzeżem, nie troszcząc się o polowanie. Konie ich, przywiązane do jednego drzewa, igrając z sobą ogryzały młode pędy, o ile im tego dozwalały wędzidła. Baron, pozostawszy sam, usiadł na uboczu, i z pomocą małego młotka, rozbijał napotykane po drodze próbki minerałów.

Baronowa i Klara milcząc doszły do kiosku i usiadły na otaczających go ławkach. Głęboka cisza zaległa miejsce, w którem przed chwilą taki gwar i ruch panował. Lekki wietrzyk poruszał trzcinę, po nad którą latały błyszczące ważki. Baronowa wpatrywała się w Klarę, która zdołała już nieco zapanować nad sobą, i tylko lekkie drżenie ust świadczyło o miotającem nią wzruszeniu. Obawiając się aby baronowa nie odgadła co się dzieje w jej duszy; pochyliła głowę i odwracała oczy, obojętnie niby kreśląc szpicrutą arabeski po piasku.

— Powiedzże mi co to wszystko znaczy? zapytała nareszcie baronowa, nie mogąc powstrzymać się dłużej. Przyjeżdżam do was przekonana że pędzicie życie w biblijnym spokoju, a spotykam zawieruchy, niezgody i zaburzenia. Mąż twoj galopuje z Atenais, książę pokornie ofiaruje ci się za towarzysza...

— To nic, odrzekła z nerwowym śmiechem, tylko zamiana dam jak w kadryllu...

Baronowa spoważniała i ujmując rękę Klary:

— Dla czego probujesz mnie w błąd wprowadzić? czy sądzisz że jestem tak rozrucona iż nie potrafię pojąć co się z tobą dzieje? Klaro, ty nie jesteś szczęśliwa.

— Cóż znowu! mogłażbym nie być szczęśliwa otoczona takim przepychem, żyjąc w takiej wrzawie i ożywieniu?... Mam tak kochającą mnie rodzinę, licznych przyjaciół, męża zostawiającego mi najzupełniejszą swobodę... Wszak wiesz że o tem właśnie marzyłam... i mogłażbym nie być szczęśliwą?...

— Droga moja, otóż to właśnie o czem marzyłaś dawniej, staje się dziś powodem twego nieszczęścia. Mąż zostawił ci zupełną wolność, ale też nie wyrzekł się swojej, i ból szarpie twoje serce gdy go widzisz obok innej... Powodowana dumą, nie chcesz tego przyznać — ale zdradza cię smutek i cierpienie. Nie, Klaro, nie jesteś i nie możesz być szczęśliwa, bo jesteś zazdrosną!

— Ja!... krzyknęła z gniewem.

I zaniosła się szalonym śmiechem, w głośne zamienionym łkanie. Oczy jej zalały się łzami i padając w objęcia przyjaciółki, zaczęła płakać gorzko, a jednocześnie twarz pokryła się rumieńcem wstydu.

Baronowa dozwoliła jej się wypłakać, a gdy się nieco uspokoiła, wymogła na niej zwierzenie smutnej tajemnicy, odnoszącej się do zerwania z Filipem.

Młoda kobieta osłupiała; pojęła jakie męczarnie przetrwała Klara, domyślała się co przecierpiał Filip. Odgadywała całą okropność sprzeczności zachodzącej między zewnętrzem a domowem ich życiem. Na zewnątrz blask, świetność, pozór wesołości i uczucia, w domu milczenie, oziembłość i samotność. W obec świata dwie te nieszczęśliwe istoty zmuszone były zawsze dobrze odgrywać swoją rolę — i poddawali się temu. Od tej chwili postanowiła sobie pracować niezmordowanie nad pojednaniem tych nieszczęsnych małżonków, rozdzielonych opłakanem szaleństwem. W tym celu chciała dokładnie zbadać Klarę.

— Ale gdy w ciągu długiej twojej choroby, mąż doglądał cię z takiem poświęceniem, czyż nigdy nie przyszło ci na myśl zbliżyć się do niego i próbować zawiązać na nowo zerwane węzły?—zapytała.

— Tak, odpowiedziała rumieniąc się; nie pojmuję co się ze mną stało, ale przyszedłszy do siebie, uczułam się całkiem inną. Nie wiem sama co mnie pociągało ku niemu, czy wdzięczność za troskliwą jego opiekę, czy sprawiedliwsze ocenienie jego charakteru, ale to pewna że gdy nie był przy mnie, mimowolnie szukałam go wzrokiem... Gdy przyszedł, nie patrzyłam na niego a jednak go widziałam, — ale był taki surowy i smutny, że nie miałam odwagi przemówić... O! gdyby mnie był ośmielił!...

— I nie uczynił tego?

— A! nie.. jest równie dumny jak ja, ale posiada większą moc charakteru... Daremnie, wszystko stracone — jesteśmy i zostaniemy rozłączeni na zawsze!

— Co prawda zdaje się że umie się pocieszać, a piękna nasza *księżna Moulinet*...

— O! nie oskarżaj Filipa, przerwała żywo Klara, to ona narzuca mu się bezwstydnie... Ściga mnie nieprzestannie niecną swoją zazdrością i nienawiścią... Najpierw wydarła mi narzeczonego, obecnie chce wydrzeć męża... Cóż za tryumf dla niej!... I co tu począć? jak się bronić... A potem czyż mam do tego prawo? czyż Filip jest moim?...

— No, w każdym razie, zawsze więcej jest twoim niż jej!

— O! ale niech się strzeże! zawołała gwałtownie Klara... aż nadto już wiele cierpiałam przez nią... a największa cierpliwość ma swoje granice... Jeźli zniewoli mnie je przekroczyć, nie wiem co zrobię, ale będzie to jakiejś szaleństwo które zgubi jedno z nas.

— No, no, uspokój się, Klaro; masz teraz we mnie sprzymierzeńca, i mogę cię zapewnić że damy sobie radę z tą rozkoszną Atenais... Nie można się zbytnie dziwić, jest to u niej dziedziczne... ojciec okradał klientów, dając za mało cukru do swej czekolady—jej znów specyalnością jest kradzenie mężów... chciałaby zagarnąć wszystkich. A! cóżbym nie dała za to żeby jej przyszło do głowy kokietować barona! dopierożbym się naśmiała!...

I ruchem głowy wskazała przyjaciółce kochanego barona, który nie oddalając się z miejsca, ukrócał godziny oczekiwania zbieraniem różnych kamyków, które pakował do kieszeni. Klara nie mogła się nie uśmiechnąć — postać Filipa stanęła jej przed oczami. O! ten nie był cierpliwym i pokornym sługą, ale groźnym i dumnym panem.

— Nie można ukrywać że położenie jest trudne, rzekła baronowa. Gdyby mogło przyjść do wytłomaczenia, pojednanie stałoby się łatwem. Ale znowu mówiąc, można się narazić na odmowę— a wtedy, bywaj zdrów!... Trzeba więc uciec się do dyplomacyi... Co do mnie jestem najmocniej przekonana że mąż kocha cię gorąco, tylko nie chce dać tego poznać,—ludzie jemu podobni, kochają raz tylko i na całe życie. Czy dobrze rozpatrzyłaś rysy i wyraz twarzy pana Derblay?... musi on posuwać wytrwałość i siłę woli do ostatnich granic... a kształt głowy zdaje się mówić iż mógłby nią przebijać mury... Człowieka z takim charakterem, pokorą tylko można rozbroić.

— Ach! nie cofnęłabym się przed tem... czegóż nie uczyniłabym dla pozyskania jego serca... Ale jeżli podobny krok z mej strony, wziąłby za nowy kaprys?

— To też trzeba czekać stosownej chwili dla stoczenia tak stanowczej walki; ale bądź spokojna; jeźli się nie nastręczy, wytworzymy ją... Tylko, na miłość boską! nie miejże takiej ponurej, zrozpaczonej miny; po cóż masz tak wielką sprawiać radość *dobrej naszej przyjaciółce*. Nie zapominaj że dla świata jesteś najzupełniej szczęśliwą, przedstawiaj mu więc pozór szczęścia zanim posiądziesz je w rzeczywistości.

Klara westchnęła ciężko. Ona, tak nieugięta dawniej, tak pewna że wszelkie przeszkody przełamać zawsze zdoła, teraz tak zwątpiła o sobie, tak nie ufała swej woli.

— Ale od pół godziny strasznie poważną prowadzimy rozmowę, rzekła baronowa; głowa mi cięży od tej psychologii małżeńskiej... Wierz mi, puśćmy się trochę galopem... a potem muszę przecie zobaczyć jak szanowna nasza księżna Moulinet radzi sobie z twoim mężem... Czy pojedziesz ze mną?

— Nie, odrzekła posępnie Klara, jestem bardzo znużona, zostanę tu. Zdaje się że brat mój i Zuzanna także nie mają ochoty jechać na to polowanie.. dotrzymają mi więc towarzystwa.

Oktawiusz i młode dziewczę wracali wolnym krokiem. Oboje milczeli: Margrabia był poważniejszy niż zwykle; Zuzanna szła z pochyloną głową, w rozkosznych zatopiona myślach. Tak doszli do miejsca w którem oczekiwały ich konie; Oktawiusz odwiązał je od drzewa, i zwracając się do Zuzanny, zapytał:

— Czy pozwalasz mi powiedzieć siostrze?

Zuzanna potwierdzająco skinęła głową.

— O! proszę powiedz jej wszystko; ona tak nas kocha oboje, iż pewnie szczerze się ucieszy.

— Dobrze, jedź więc z baronostwem, ja pozostanę i wyjawię Klarze naszą tajemnicę.

I wsadziwszy ją na konia, ucałował małą rączkę. Zuzanna podniósłszy oczy, długo patrzyła na Oktawiusza, poczem lekko uścisnęła dłoń jego, wyrażając tym sposobem co nie śmiała powiedzieć, i nareszcie dotykając wierzchowca szpicrutą, jednym skokiem znalazła się w środku rozdroża.

Odgłos rogu rozchodzący się po lesie, dodawał skrzydeł panom La Brède i Du Tremblay.

— No, baronie, na koń! zawołała pani de Préfont na męża.

— Jestem na twoje rozkazy, kochana Zofio, odrzekł uprzejmie, odrywając się od miłego sobie zajęcia... Wystaw sobie, dodał, iż nie bardzoby mnie zadziwiło, gdyby w tych skałach odkryto ałun— muszę pomówić o tem z panem Derblay; możnaby może współzawodniczyć z włoskiemi kopalniami ałunu... Przypominasz je sobie?... w pobliżu Civita-Vechia... zwiedzaliśmy je podczas poślubnej naszej podróży... Byłby to doskonały interes...

— Zapewnie, baronie, odrzekła z żywem rozrzewnieniem—doprawdy jesteś aniołem!... a nie dość na tem—uczonym. Masz, pocałuj mnie w rękę!

— Z największą przyjemnością, kochana Zofio, odrzekł najspokojniej.

I podniósł do ust małą rączkę żony. Baronowa obejrzała się do koła; skinieniem ręki pozdrowiła Klarę i Oktawiusza, poczem zapytała zwracając się do Zuzanny.

— Czy jedziesz ze mną?... dobrze... więc ruszajmy!...

I puściła się galopem, a za nią baron i Zuzanna.

Oktawiusz i Klara stali nieruchomie, patrząc za odjeżdżającymi. Przez chwilę milczeli oboje. Oktawiusz był żywo wzruszony i nieco zmięszany zamierzonem zwierzeniem; Klara zamyślona o tem co jej mówiła baronowa, rozważała z niepokojem jaką może mieć nadzieję powodzenia w tak trudnem przedsięwzięciu. Głos brata obudził ją z zamyślenia.

— Klaro, mówił, mam ci oznajmić cóś nader ważnego.

A gdy zadziwiona zwróciła na niego pytające spojrzenie:

— Ja i Zuzanna kochamy się wzajemnie, rzekł półgłosem.

Smętna twarz Klary rozpromieniała jak zachmurzone niebo gdy je rozjaśni promień słońca. Obie ręce wyciągnęła do brata i pociągnąwszy posadziła go przy sobie. Żywo wzruszona, zapragnęła wiedzieć wszystkie szczegóły, upatrując w tem jakiejś przyjaznej sposobności do pojednania się z Filipem. Oktawiusz opowiadał jej z zachwyceniem, ten pełen prostoty, a tak już długi romans dwojga młodych serc, w których nieznacznie wzajemna powstała miłość. Miłość nieśmiała i czysta, pełna najsłodszych upojeń, wzbudzona spokojnie i bez wstrząśnień, jak piękny kwiat pod pogodnem niebem.

— Ty, siostrzyczko, masz tak wielki wpływ na Filipa, mówił młody margrabia, przemów do niego za mną, uproś niech mi odda rękę Zuzanny. Oddawna już zna moje zasady i przekonania, wie że za nic uważam wysokie urodzenie, i chcę sam sobie wyrobić stanowisko. Bądź wymowną, droga Klaro, nie zapominaj że szczęście moje w twoje złożyłem ręce.

Klara spoważniała nagle. Nie posiadała bynajmniej tego wpływu na męża jaki brat jej przypisywał. Nigdy jeszcze od owej nieszczęsnej nocy

z której następnie wysnuło się tyle cierpień i boleści, nie zamieniła z Filipem ani jednego poważnego słowa. W Pont-Avesnes widywali się tylko przy stole, i w obec służby mówili bardzo mało o rzeczach zupełnie błahych. I mogłaż teraz, tak nagle, bez przygotowania i choćby słówka zachęty, rozpocząć rozmowę w tak ważnej sprawie? Nie wahała się jednak; zaczynała odzyskiwać ufność w siebie—miała jakby przeczucie zwycięztwa.

Zaniepokojony milczeniem siostry, i lękający się przeszkód jak wszyscy zakochani, młody margrabia, zawołał:

— Nie odmówisz przecie stanąć w obronie mojej sprawy?

— O nie! odrzekła z odważnym uśmiechem, i bądź spokojny, gorąco bronić jej będę.

— O! serdeczne dzięki, droga siostro.

I obejmując Klarę, uściskał ją serdecznie.

— To moje honorarium, rzekła z tak wesołym uśmiechem, jaki od roku już nie pojawił się na jej twarzy. Widać masz zaufanie, skoro płacisz naprzód. No, kiedy już wyznałeś swój występek, wracaj że do niej—wiesz że ja nie unikam samotności, a potem muszę się nad tem namyśléć.

Oktawiusz jednym skokiem dobiegł konia, wskoczył na siodło i poleciał jak strzała. Odwrócił się i ręką przesłał jeszcze pocałunek siostrze patrzącej za nim z uśmiechem, i pędził jak człowiek wiedzący że przy końcu drogi czeka nań ukochana.

XV.

Zostawszy sama, Klara zapomniała gdzie jest i co ją otacza i zamyśliła się głęboko. Z lasu dochodził do niej daleki odgłos rogów i trąbek i turkot nieustannie przejeżdżających powozów — ale ona głuchą była i ślepą na wszystko co tylko nie tyczyło się Filipa. I w myśli wyobrażała sobie życie swoje jakiem byćby mogło, i sięgając w przeszłość liczyła dnie szczęścia jakiego pozbawiła się dobrowolnie.

Obecnie, gdy czasów dawno już minął, nie mogła pojąć jakie uczucia kierowały wówczas jej postępowaniem—gorączkowy szał pychy jaki ją wówczas opętał, teraz dla niej samej stał się niezrozumiałym. To uwzięcie się aby jakąbądź ceną iść zamąż pierwej niż się książę ożeni, wydało jej się teraz tak nędznem i marnem, iż rumieniec wstydu występował na jej czoło. Więc dla tak marnych słabostek, poświęciła szczęście całego życia!...

Już to mówiła sobie iż pomimo wyrządzonej mu zniewagi, Filip nie będzie pewnie nieubłaganym, już znów stawała przed jej oczami surowa i wyniosła twarz jego. Brzmiał jej jeszcze w uszach dźwięk jego głosu, gdy powiedział: Kiedyś poznasz całą prawdę, i dowiesz się że jesteś zarówno okrutną jak niesprawiedliwą; ale choćbyś wtedy na kolanach błagała przebaczenia, nie usłyszysz ode mnie ani słówka litości.

Ale może tylko gniew podyktował mu słowa tak strasznej groźby? może nie będzie tak bezlitośnym i niewyrozumiałym aby chciał ją spełnić?... I znów widziała go złamanego bezmierną boleścią, z pochyloną głową i czołem wspartem na ręku, a następnie ukazującego jej twarz zalaną łzami. Nie ma wątpliwości że wtedy kochał ją i ubóstwiał, i chętnie byłby oddał życie za jedno słówko nadziei, za jedno tkliwe spojrzenie. Upłynęło ośm miesięcy—czyż miłość Filipa wygasła zupełnie skutkiem rany zadanej mu przez nią?

— Gdy ktoś kochał tak jak on mnie kochał, czyż może zapomnieć? wyrzekła głośno, jakby żądając odpowiedzi na to tak ważne dla niej pytanie, od lasu, powietrza, przestrzeni, od całej zresztą otaczającej ją przyrody.

— Gdy kto kochał prawdziwie, głęboko, nigdy zapomnieć nie może, odpowiedział głos w którym przebijała nuta fałszywa i szydercza zarazem.

Klara zerwała się prędko, i odwróciwszy głowę zobaczyła księcia, który wszedłszy przed chwilą do kiosku, wsparty o balustradę patrzył na nią z uśmiechem.

— Przyznaj że przyszedłem w sam czas aby ci odpowiedzieć, rzekł wesoło; ale czy przynajmniej o mnie myślałaś zadając to pytanie?

Klara popatrzyła na niego przymrużając oczy; poczem rzekła z pogardliwą impertynencyą:

— A! doprawdy, nie.

— Tem gorzej.

— Po cóż książę tu przybywa?

Zszedłszy z sześciu schodków peronu, zbliżył się do Klary.

— Szukałem ciebie, odrzekł z ukłonem.

— W jakim zamiarze?

— W zamiarze pomówienia z tobą otwarcie. Przed godziną, odprawiłaś mnie niezbyt grzecznie gdy ofiarowałem ci się za towarzysza, sądziłem że może teraz będziesz przystępniejszą. Czy zechcesz mi odpowiedzieć?

— Ależ zdaje mi się że nic nie mamy sobie do powiedzenia.

— Jesteś tego pewną? Przekonywam się z przykrością że stałaś się niesłychanie skrytą; nie chcesz przyznać że ciężki smutek cię przygniata.

Klara pogardliwie wzruszyła ramionami.

— A ja znów przekonywam się że poziom twej intelligencyi niesłychanie się obniżył. Powtarzasz jedne i te same oklepane frazesa, z miną płaczliwą, wcale niepojętną. Ale niech się uspokoi twoje zbyt czułe serce; nie mam żadnych zmartwień ani smutków, i najmniejszej nie mam ochoty doświadczać ich dla twojej przyjemności.

— Niech i tak będzie, odrzekł książę; rad jestem jeźli się mylę. Co do twego położenia, wyrobiłem sobie pojęcia które wydawały mi się trafne i prawdziwe,—ale być może, iż, jak to powiedziałaś przed chwilą, poglądy i pojęcia moje stały się bardzo ciasne i ograniczone. Dziś rano, zdawało mi się że jesteś nader rozdrażniona i niespokojna. Ten rodzaj polowania może zabawić, nie chciałaś jednak wziąść w niem udziału, zwracając wyłącznie uwagę na męża.

— Więc cóż? zapytała na pozór spokojnie.

— Więc, szczególniejsza rzecz, mówił dalej książę, pan Derblay zdawał się nic a nic nie zważać na ciebie, zajęty wyłącznie księżną, która wybrała go na swego *cavaliero servanto*. A ty, Klaro, zamiast być zadowolnioną z takiego obrotu rzeczy, rzucałaś na niego piorunujące spojrzenia.

— Z czego wywnioskowałeś sobie? zapytała zimno.

— Że owa zgoda i jedność, jaką we wszystkich wmówić pragniesz, bynajmniej nie istnieje między wami, że on nie umie należycie ocenić skarbu który przypadkiem, a raczej skutkiem mojej nieszczęsnej doli, dostał się w jego ręce. Cóż powiem więcej? oto od chwili powzięcia tego przekonania, tysiące drobnych szczegółów na które przedtem nie zwracałem uwagi, uszykowały się w moim umyśle. I przypomniałem sobie jaką byłaś w dzień ślubu, komentowałem twój smutek, rozbierałem gniew i cierpkie obejście. A zważywszy wszystko za i przeciw, doszedłem do wniosku, że bądź co bądź, choć pragniesz to wmówić w ludzi, nie jesteś tak szczęśliwą jak na to zasługujesz.

Książę przypuścił atak nieprzewidziany i trafnie wymierzony; w jednej chwili obalał szańce tak wytrwale wznoszone przez Klarę. Ze zwykłą sobie czelnością dawał jej do zrozumienia, że zarówno jak forteca żadnej zewnątrz nie spodziewająca się pomocy, tak i ona musi poddać się regularnemu obłężeniu. Klara ani o krok cofnąć się nie chciała, i uprzedzając rozpoczęcie walki rzekła z nieukrywaną goryczą:

— I w następstwie tych wniosków swoich, książę, tak znany z tkliwości i szlachetności serca, pomyślałeś sobie, że będzie to nader przyjazna sposobność zostania moim pocieszycielem.

Zanadto wyćwiczony w sprawach podobnego rodzaju, książę nie chciał od razu stanąć na gruncie tak śmiało wskazanym mu przez Klarę, wiedząc że przegrałby niezwrotnie, gdyby tak nagle dał poznać swoje wyrachowanie. Chciał wmówić w nią że działa pod wpływem głębokiego i poważnego uczucia, i dla tego zmieniając nieco szyderczy sposób mówienia, rzekł smutnie:

— Źle i niesprawiedliwie sądzisz mnie, Klaro. Przysięgam że czyniłem co tylko było w mej mocy aby cię zapomnieć. Wyjeżdżając tu zdawało mi się że cię już nie kocham; sądziłem więc że będę mógł widywać cię spokojnie. Mówiono że jesteś szczęśliwa—i cieszyło mnie to niewymownie A! biedny szaleniec, myślałem że po tylu zawodach i ciężkich próbach, zużyte serce moje zamarło, i przekonałem się z niewymowną boleścią, że zaczyna się ożywiać i odradzać! W jednej chwili wzbudziły się wszystkie drzemiące w niem wspomnienia, gdy zobaczyłem cię tak smutną, tak tylko siłą woli ukrywającą swe cierpienia i smutki. Mogłaś oszukać każdego — ale nie mnie, który oddawna tak doskonale umiem wyczytać z twarzy twojej, co się dzieje w twej duszy. Gdybyś była szczęśliwą, byłbym cię kochał i uwielbiał z dala, ani jednem słówkiem nie zakłócając twego spokoju... ale widząc że cierpisz, nie byłem panem siebie... Uczułem że jakaś nieprzeparta siła pociąga mnie ku tobie, i zrozumiałem że ty jedna istniejesz tylko dla mnie na świecie, że ciebie jedną kocham i nigdy kochać nie przestałem!...

Klara słuchała z zadziwieniem tych słów namiętnych; serce jej najlżejszem nawet nie zadrgało uderzeniem. Czyż ten człowiek tak czule przemawiający do niej, jest ten sam którego tak szalenie kochała? Głos jego dawniej tak silne budzący wzruszenie, dziś najmniejszego nie wywołał wrażenia, słuchała słów jego zimna, rozgniewana tylko. Widziała w nim jednego z tych wytrawnych komedyantów, zdolnych oszołomić umysł i rozdrażnić nerwy kobiet słabego charakteru. Ani na chwilkę nie uwierzyła w jego szczerość, a w całem postępowaniu widziała tylko nikczemną chęć zadowolnienia przelotnego kaprysu.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 47.

(*Dokończenie*).

N. 41—42 i 50. Sukieneczka dla dziewczynki lat 1—3.

Uszyta z cienkiego popielatego kaszmiru, ozdobiona jest haftowanemi szlakami z ząbkami szydełkowemi. Ryc. 41 wskazuje szlak wyszyty na granatowym kaszmirze białym i drzechowym kordonkiem; drugi wzór szlaku daje ryc. 50, jest on wyszyty łańcuszkiem, jedwabiem piaskowym do cieniu, na tle z niebieskiego kaszmiru.

N. 43—44. Płaszczyk z pelerynę dla panienki lat 12—15. Krój na arkuszu N. XI, fig. 66—72.

Przy plecach dodana jest część fałdowana, u góry przemarszczona kilkakrotnie poniżej nagłówka 3 cent. szerokiego, podszytego atłasem; krając pelerynę przystębnowaną do pleców od K do * materyał przy brzegach przednich bierze się skośno; dwie linije proste na formie oznaczają miejsce przemarszczenia na ramionach, przy szyi 6 cent., u dołu 9 cent. szerokiego. Wypustki atłasowe, stębnówka i sznur z pomponami stanowią przybranie płaszczyka z bronzowego szewjotu w drobną kratkę.

N. 46—47. Paletot z kapturkiem, dla młodych panienek. Krój na arkuszu N. IV, fig. 18—22.

Fig. 22 podaje wymiar połowy kapturka, zrobionego z prostego kawałka, przy którym dany wykład 20 cent. szeroki, odznaczony podwójną linijką (na fig. 22). Jeżeli materyał ma lewą stronę to wykład trzeba odciąć i przyszyć tak aby dał się odwinąć na prawą stronę do wierzchu. Przemarszczenie górnego brzegu, w nagłowek 3 i pół cent. szeroki i wązką bufkę, dopasowywa się do wykroju szyi wszytego w pasek; brzegi przednie wykładu złożone w fałdy, przyciśnięte są szmuklerskiemi agrafkami; z tyłu na środku kokarda ze sznura z kwastami.

N. 51. Żabot z saską koronką.

Pukle 12 cent. długie ułożone z kawałka gazy jedwabnej 50 cent. szerokiej; końce liczą po 8 cent. długości i są oszyte saską koronką 12 cent. szeroką; koniec zwierzchni przyszyty jest w ten sposób, iż stanowi zarazem przepięcie żabotu.

N. 52. Żabot z blondyny jedwabnej.

Na podstawie ze sztywnego tiulu przyczepiony pukiel 30 cent. szeroki z gazy koloru ficelle i równie szeroki fałdowany koniec, przepięte z boku wypukłym węzłem. Ułożenie blondyny jedwabnej 8 cent. szerokiej wskazuje ryc. 52.

N. 53—55. Wachlarze. Krój i deseń do ryc. 53 na arkuszu, N. VIII, fig. 39, deseń do ryc. 54, fig. 40.

Ryc. 53 przedstawia wachlarz z oprawą z kości słoniowej, zakończonej białym atłasem, oszytym koronką irlandzką, wskazaną na ryc. 55 i ozdobiony malowaniem.

Na r. 54 widzimy wachlarz koronkowy w oprawie z kości.

N. 56—57. Ręczniki z kolorowemi szlakami.

Fig. 43 daje deseń szlaku do ryc. 56, odrobiony ściegiem płaskim jedwabiem kolorowym dobrym do prania. Na ryc. 57 daliśmy ręcznik z grubego „toile de congrès“, 55 cent. szeroki, oszyty nicianą koronką 9 cent. szeroką. Szeroki szlak składa się z wyszycia krzyżykowego i kratki ażurowej na które deseń dobrać można w Tygodniku Mód.

N. 62. Przykrycie na skrzypce. Deseń na arkuszu fig. 94—95.

Odrobiona jest jedwabiami niekręconemi na tle sukiennem, wyciętem z brzegów w ząbki; fig. 94 daje połowę desenju; monogram haftowany złotem wskazuje fig. 95, ale ten zmienia się stosownie do nazwiska. Po skończeniu haftu daje się podszewkę jedwabną także w ząbki wyciętą.

Opis do N-ru 48.

N. 1—2. Ubranie wieczorowe i balowe.

N. 1. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Ryc. 1 przedstawia strojne wieczorowe ubranie odrobione z aksamitu i adamaszku koloru pawiego, i z atłasu ciemno ponsowego (pompejańskiego) koloru. Atłas użyty był na fałdowane części garnirunku, przykryte czarną koronką i wstawiane w aksamitną spódnicę, wyciętą u dołu w patki 22 cent. szerokie a 25 cent. długie; z przodu sukni części fałdowane ozdobione były rozetami szmuklerskiemi, odrobionemi z jedwabiu i szneli. Draperya szeroko z przodu otwarta u dołu, składa się z jednego bryta tylnego i dwóch brytów przednich; bryt tylny, cały atłasem podszyty, mający 75 cent. długości a 56 szerokości, kraje się razem z pleckami, 12 cent. poniżej wcięcia w pasie. Baskina skośnie ścięta do dołu, ma z przodu licząc od zapięcia stanika do spiczasto ściętego rogu 43 cent. długości a od tegoż rogu do bocznych na 12 cent. nie zeszytych brzegów, 26 cent. dolnej szerokości. Do ozdobienia sukni u dołu, do ubrania rękawów i na chusteczkę służy koronka Chantilly 23 cent. szeroka. Chusteczka przy wykroju szyi ozdobiona jest węzłami z atłasu, a długie końce spięte są z przodu szmuklerską agrafą.

N. 2. Ubranie balowe ze stanikiem bawetowym.

Cała zagarnirowana spódnica układana była z blado niebieskiego tiulu na jedwabnej spódnicze. U samego dołu przyszyta suta, w potrójne kontrafałdy układana riusza, nad nią dana bufa 16 cent. szeroka, na którą zachodzą w zęby naszyte, w kontrafałdy układane falbanki przedzielane riuszami 6 cent. szerokiemi. Nad garnirunkiem dana z przodu draperya z gazy w pasy jedwabne upięta à panier, w górze wszyta razem ze spódnicą w pasek, z boków między szwy wpuszczona a z tyłu dopełniona bardzo sutą draperyą tiulową. Mocno wycięty stanik bawetowy z tyłu sznurowany, w górze stojącym kołnierzem zakończony, zrobiony był z atłasu blado niebieskiego. Stanik zdobią bukieciki, a spódnicę bukiety z trenażem, z róż bladoróżowych.

N. 5—6. Serwetka wyszyta ściegiem maurytańskim.

Serwetka trzymająca 51 cent. w kwadrat, oprócz frendzli, robiona była na grubem, szarem płótnie, jedwabiem ponsowym i czarnym, ściegiem krzyżowym plecionym, obwodzonem jedwabiem czarnym, ściegami pojedyńczemi, któren pod nazwą ściegu perskiego opisywaliśmy w roku 1881 przy ryc. 37 w N. 36; każden deseń krzyżowy nadaje się do takiej roboty. Frendzla podana w naturalnej wielkości na ryc. 5, robi się z nitek 16 cent. długo wysiepanych w grubem płótnie, do których dodają się nitki jedwabiu czarnego i ponsowego.

N. 7 i 13. Kamasze dla dzieci lat 4—6, robione na drutach.

Model robiony był z grubej bawełny bronzowej a ząbki i galony z bawełny ponsowej i białej, robota oprócz szlaku górnego idzie wzdłuż gładko, tam i napowrót zaczynając od środka z tyłu, rzędami krótszemi na łydkę, a następnie przybierając nowe oczy w dalszych rzędach. Robotę najlepiej stosować podług dopasowanej formy kamasza; na galon daje się 12 obrobień białych, które prawie zupełnie pokrywają dwa na wierzchu dodane paski sznurowane ponsowe. Wykończone kamasze zeszywa się z lewej strony, a następnie dodaje się szlak górny w koło robiony i ząbki szydełkowe u góry ponsową u dołu białą bawełną. Ryc. 13 przedstawia probkę galonu.

N. 9 i ryc. 35—36 w N. 49. Suknia z kołnierzem chusteczkowym.

Spódnicę atłasową ogarnirowaną u dołu sutą riuszą, pokrywa z przodu lekka draperya fartuszkowa, nad którą dodane marszczone panier z pluszu. Tylną draperyę dopełnia w kontrafałdy ułożony kawałek pluszu mający 140 cent. długości a 60 wysokości, którego przyszycie przykrywają szerokie i długie końce szarfy atłasowej, przypiętej na baskinie stanika, zapinanego z przodu na guziczki. Nowość stanowi kołnierz chusteczkowy, podany oddzielnie z przodu i z tyłu na ryc. 35 i 36 w N-rze 49 Tygodnika. Kołnierz robi się z trójkąta pluszu mającego 50 cent. długości, a 28 środkowej szerokości, podszytego atłasem, a na 12 c. od rogów przednich przecięty na 8 cent. głębokości, składa na szerokość prawie we dwoje a w środku zaszywa w poprzeczną fałdę. Następnie obadwa końce przednie odkłada się w tył na 6 cent. długości, sposobem wskazanym na ryc. 35, tak iż one stanowią ranwersy, a część kołnierza na którą są wywinięte, obrócona jest podszewką do wierzchu. Do oszycia kołnierza w sposób na ryc. wskazany, służy koronka żółtawa 10 cent. szeroka.



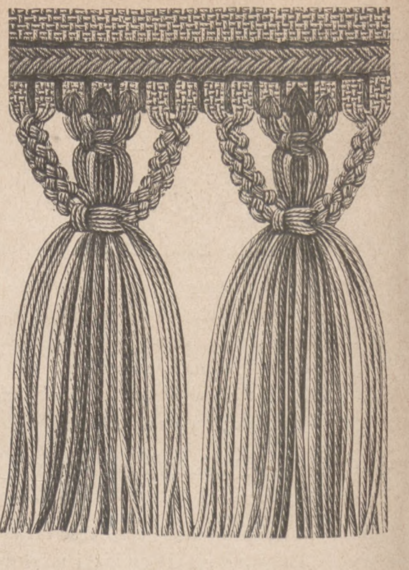
N. 1. Suknia ze stanikiem z baskiną. N. 2. Ubranie balowe.



N. 4. Frendzla sznelowa z szydełkowym nagłówkiem do ryc. 23.



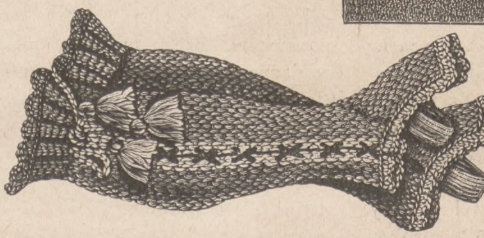
N. 3. Haft na tle filcowem do ryc. 12.



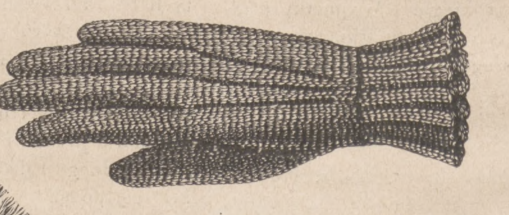
N. 5. Frendzla do ryc. 6.

N. 10. Suknia z garnirunkiem z patek.

Do sukni z ciemno zielonego kaszmiru i z takiegoż pledowego materyału w kratę, patki u dołu sukni i przy baskinie stanika, zachodzące na wązkie plisowanie z atłasu, zrobione były z ciemno zielonego aksamitu, z podszewką jedwabną. Spódnica i fartuszkowa draperya z przodu zrobione były z materyału w kratę; sute upięcie z tyłu składało się z buf naprzemian gładkich i w kratę; Górna bufa ma około 110 cent. szerokości a 59 długości, druga 40, a dolna 60 cent. długości. Stanik gładki kaszmirowy tylko z przodu i z boków ozdobiony patkami, na baskinie pleców ma naszyte dwa pukle 24 c. długie, zrobione z materyału w kratę.



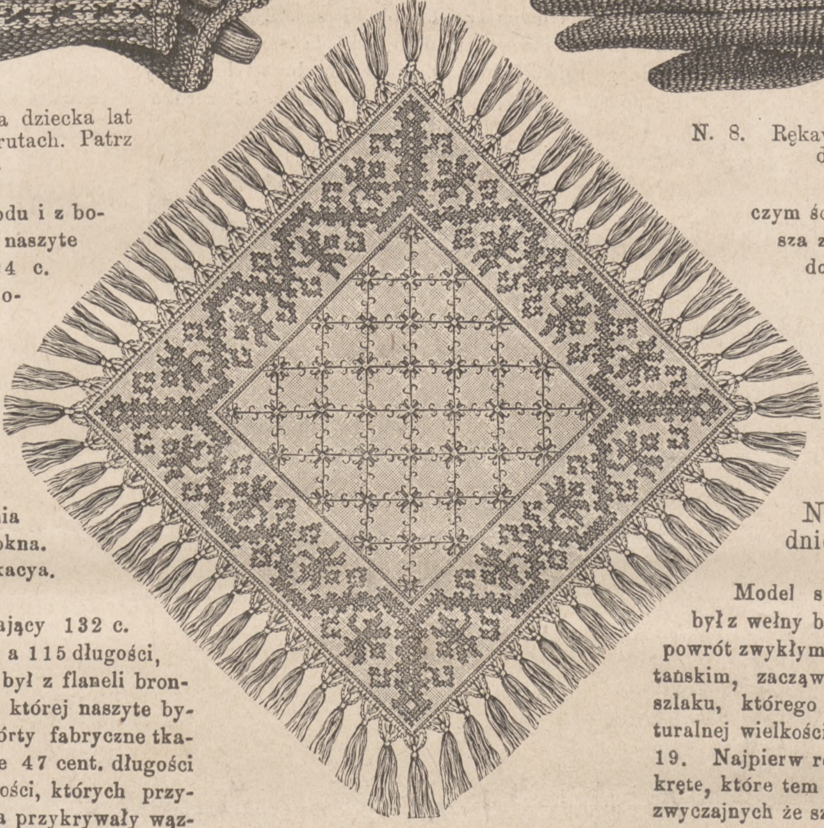
N. 7. Kamasze dla dziecka lat 4—6, robione na drutach. Patrz ryc. 13.



N. 8. Rękawiczka robiona na drutach.

N. 11-12 i ryc. 3. Przykrycie do zawieszenia we framudze okna. Haft i aplikacya.

Model mający 132 c. szerokosci a 115 długości, zrobiony był z flaneli bronzowej; na której naszyte były dwie bórty fabryczne tkane mające 47 cent. długości a 13 szerokości, których przyszycie do tła przykrywały wązkie szlaczki z kilku nitek włóczki ciemno ponsowej przeszywane przez wierzch sposobem wskazanym na r. 11. Aplikacya liści i arabesek wycinana z sukna popielatego i haft płaski zdobiły przykrycie. Kontury aplikacyi i proste linije przy bórtach robione były włóczką hamburgską, oliwkową i niebieską, a haft płaski którego próbkę dajemy na ryc. 3, robiony był włóczkami w żywych stosownie do tła dobranych kolorach.



N. 6. Serweta z haftem maurytańskim.



N. 9. Suknia z kołnierzem chusteczkowym. Patrz r. 35—36. w N-rze 49.

N. 16—17. Kosz na drzewo. Haft ściegiem plecionym.

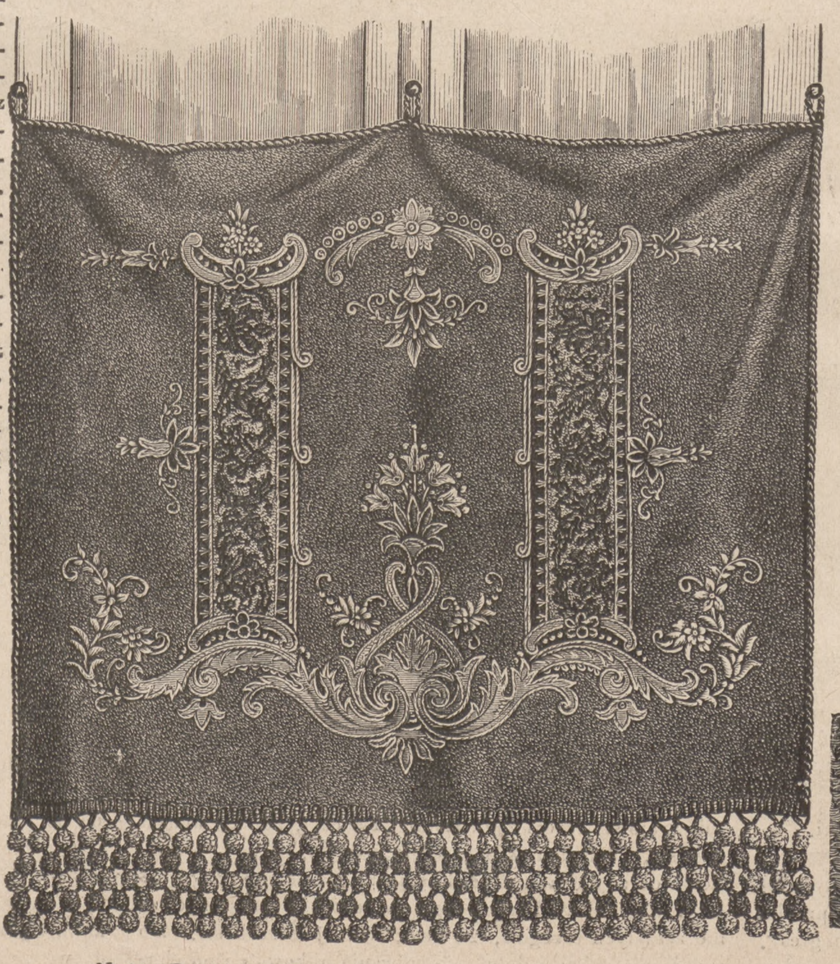
W kosz rzadko z trzciny pleciony, 36 c. wysoki wstawiona była forma blaszana, a powierzchnię zdobiły przewłóczone aksamitki ponsowe, 6 c. szerokie i pasy haftowane na grubem, rzadkiem żółtawem płótnie, ściegiem plecionym i pojedyńczym, jedwabiem kordonkowym, w kolorze ponsowym, żółtym i niebieskim. Na ryc. 17 dajemy w naturalnej wielkości próbkę deseniu powtarzającego się ciągle. Najciemniej oznaczone części deseniu robione były kordonkiem ponsowym, z dodaniem po brzegach dwóch nitek złotych, złotem wyszyte kwadraciki miały obwódki i gałązki robione jedwabiem żółtym. Krzyż w środku kwadratu był żółty; idące od niego trójkąty niebieskie, a drobne pojedyńczym ściegiem robione figury ponsowe. Górny brzeg kosza zdobią pompony z włóczki zielonej, przyczepiane do torsadki robionej na widełkach. Takież, mniejsze pompony przyczepiane są do brzegu szlaku, w odstępie 8 cent.

N. 18—19. Spódniczka szydełkowa.

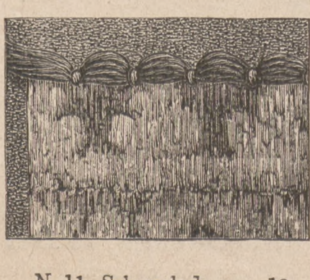
Model spódniczki robiony był z wełny białej tam i napowrót zwykłym ściegiem tunetańskim, zacząwszy od dołu od szlaku, którego próbkę w naturalnej wielkości dajemy na r. 19. Najpierw robi się 3 rzędy kręte, które tem różnią się od zwyczajnych że szydełko wkłada się nie z prawej lecz z lewej strony w oczka podłużne poprzedzającego rzędu. Dalej jeden rząd zwykły tunetański, w następnym robi się jedną muszkę co 6 o: gładkich, w drugim 2 co o: gład. 4, w trzecim 3 co o: 2, w czwartym muszki schodzą się ze sobą, tak samo w rzędzie 5-tym i 6-ym. Potem następnie 1-en rząd kręty, a za nim powtarza się muszki, zakończone 1-szym rzędem krętym. Dalej robi się spodniczkę gładkim ściegiem tunetańskim, nadając formę kliniastą przez stopniowe gubienie, które najlepiej pasować podług formy z papieru. Na



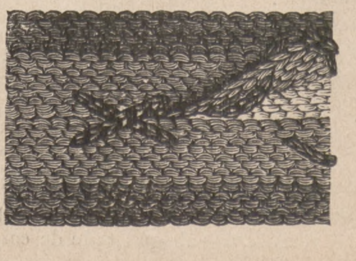
N. 10. Suknia przybrana patkami.



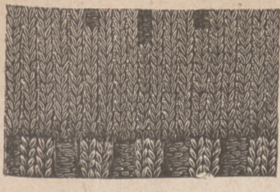
N. 12. Przykrycie do zawieszenia we framudze okna. Patrz r. 3.



N. 11. Szlaczek do ryc. 12.

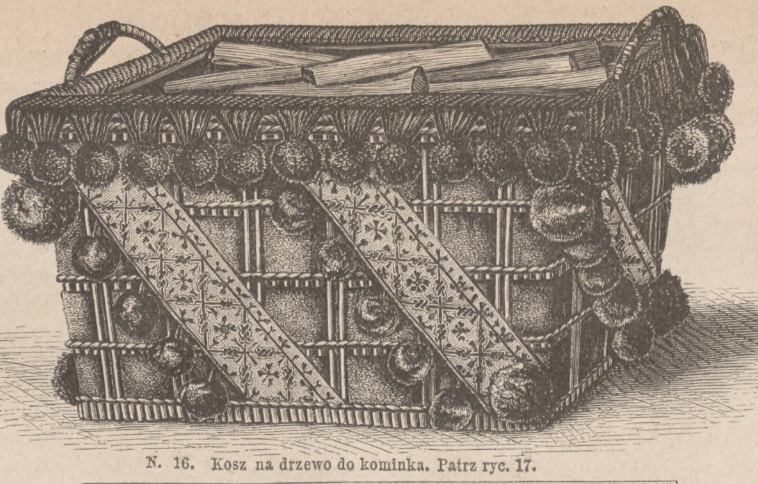


N. 13. Szlak do kamasza r. 7.



N. 14. Robota na drutach do ryc. 8.

pasek obrabia się 6 razy o: ścisłemi, zajmowanemi za obie nitki o: łańcuszkowych poprzedzającego rzędu, robionemi tam i napowrót. Nakoniec spaja się spódniczkę z lewej strony, pozostawiając w górze rozporek, a u dołu dodaje się ząbki podług ryc. 19.



N. 16. Kosz na drzewo do kominka. Patrz ryc. 17.

Falbana pluszowa z nagłówkiem, układana była w kontrafałdy. Przody zapinają się na kryte haftki, albo na agrafy szmuklerskie z guzikami.



N. 15. Wyszycie na chustce ryc. 21 (w zwiększeniu).

N. 37. Paletocik z dubeltowego kortu.

Wcinany do figury, suto ozdobiony potrzebami szmuklerskiemi i obłożony krymskiemi barankami.

N. 29. Płaszczyk dziecinny z fałdowaną peleryną. Formę podaliśmy w N. 48 z roku 188 ~.

Płaszczyk beżowy z ponsową flanelkową podszewką, miał z przodu 52 cent. długości a do pleców 36 c. długich dodaje się brycik prosty, 20 cent. długi, a 88 szeroki w pięć głębokich fałd złożony. Brzegi płaszczyka są kilka razy przestębnowane, a przody zapinają się na złocone guziki. Peleryna mająca 37 cent. tylnej, 28 przedniej długości, a 108 dolnego obwodu, zastębnowana jest z tyłu w $6^1/_2$ c. głębokich fałdek, które na 12 c. od dołu są wolno puszczone. Na pasku, przy wykroju szyi, w którem płaszczyk wszyty jest wraz z peleryną, naszyta jest 4 cent. szeroka riusza z materyi, w środku parę razy przemarszczona.



N. 18. Spódniczka włóczkowa. Patrz ryc. 19.



N. 17. Szlak ściegiem plecionym do ryc. 16.



N. 20. Spódniczka z koronką i szlaczkiem kolorowym. Patrz ryc. 7 w N-rze 49.

N. 38. Rękawiczki czarne skórzane, ozdobione 8-9. cent. długiemi, wstawianemi klinami, z materyi przemarszczanej kolorowej.

N. 40. Ubranie balowe ze stanikiem z baskiną.

Spódnica z satynki białej pokryta jest przemarszczanym tiulem w drobne muszki, zakończonym u dołu falbaną koronkową 30 c. szeroką. Z takiegoż tiulu jest krótkie panier i suto odstające upięcie z tyłu. Patki atłasowego stanika podszyte są plisowaną koronką, z której zrobione są także krótkie rękawki i garnirunek przy wykroju.

N. 30. Paletocik dla dziecka. Krój podług ryc. 34 w N-rze 46.

Model paletocika zapinanego na dwa rzędy guzików odrobiony z aksamitu, miał 56 c. przedniej a 61 tylnej długości. Kolisty, 10 cent. szeroki kołnierz oszyty był i związany na grube jedwabne sznury z kwastami; w górze dodana wązka riusza atłasowa.

N. 34—35. Paletocik z krótką pelerynką, dla panienki lat 10—12. Krój podług ryc. 23 w N. 47 Tygodnika.

Paletocik luźno wcięty, podany z przodu i z tyłu na ryc. 34 i 35, łatwo można przykroić podług wyżej wzmiankowanej formy, bacząc na małą zmianę pleców, do których w krajaniu trzeba dodać na fałdy pod spód założone od wcięcia w pasie 11 cent. w środku, a po 16 cent. przy szwach bocznych. Pelerynka ma 26 cent. przedniej a 30 c. tylnej długości, i może być oddzielnie na haftki przypinana pod kołnierzem. Kołnierz, pelerynka, mankiety i patki objęte są wypustką atłasową, którą także naszywa się dziurki na pelerynce.



N. 19. Część szlaku szydełkowego do ryc. 18.



N. 21. Chustka kaszmirowa z tłem haftowanem. Patrz ryc. 15 i 25—28.

N. 23. Chustka trójkątna sznelowa. Patrz ryc. 4 i 24.

N. 22. Chustka kaszmirowa ze szlakiem wyszywanym.

N. 41. Ubranie balowe ozdobione koronkami.

Odrobione być może zarówno z bardzo kosztownyca jak i z mniej drogich materyałów. Na modelu gładk adamaszkowa krótka spódnica, oszyta była u dołu wązkiem plisowaniem z kolorowego atłasu, i falbaną z koronki 18 c. szerokiej, nad którą dane upięcie w kształcie sutej riuszy, ułożone z pukielków i końcy robionych z wązkich różnokolorowych aksamitek. Draperya górna może byc z szalika, chustki, szerokich falban, albo z tiulu koronkowego. Na modelu upięta trójkątna chustka koronkowa, której środek stanowił krótką draperyę z tyłu, a końce draperyi z przodu i z boków przypiętą z jednej strony bukietem z róż. Atłasowy, bawetowy stanik ma krótkie koronkowe rękawki, a przy wykroju upięcie z szerokiej koronki, z przodu ozdobione bukietem z róż.



N. 24. Tło na drutach robione ze szneli, do ryc. 23.



N. 29. Płaszczyk dla dziecka.

N. 30. Paletocik dla dziecka.



N. 25. Rzucik do ryc. 21.



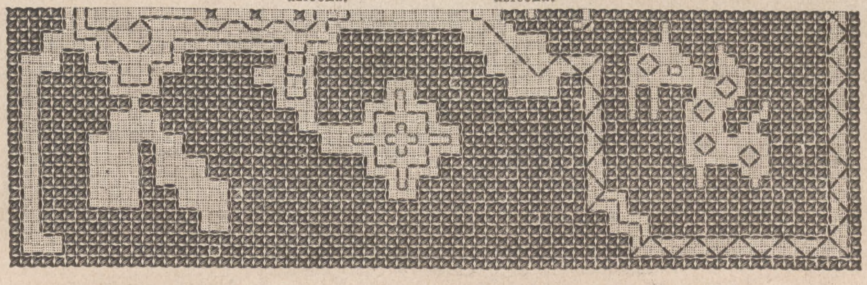
N. 26. Rzucik do ryc. 21.

N. 36. Dolman adamaszkowy.

Płaszczyk z adamaszku wełnianego odrobiony formą dolmanową, miał wraz z falbaną z przodu 105 z tyłu 111 c. długości.



N. 27. Rzucik do ryc. 21.



N. 31. Połowa figury wyszytej w pasie środkowym, r. 32 w N. 49.



N. 28. Rzucik do ryc. 21.

Opis do N-ru 49.

N. 1. Kapelusik okrągły dla dziewczynki.

Model z bronzowego filcu miał wysoką główkę i szerokie z jednego boku odwinięte rondko objęte pluszem; 4 cent. szeroka wstążka niebieska i bronzowa użyta do opasania główki i na sutą kokardę.



N. 34. Paletot z pelerynką dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 35.

N. 2. Kapotka dla dziewczynki.

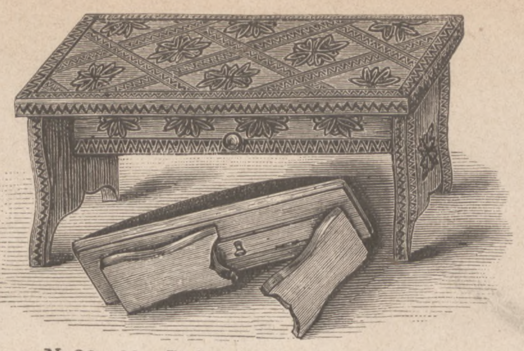
Kapotka z białego jedwabnego pluszu przybrana jest szeroką białą repsową wstążką i białem piórem; rondko od spodu podszyte marszczonym atłasem.

N. 3. Kołnierz chusteczkowy z koronki.

Podstawę kołnierza zapiętego z boku stanowi pasek sztywnego tiulu $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki, przykryty blado niebieską morową wstążką, do którego przyszywa się wązka riusza w górę stojąca i 8 c. szeroka koronka suto namarszczona. Dolna część stanowiąca rodzaj plastronu, marszczona z koronki przyszytej do 25 cent. długiego kawałka wstążki, przyczepionego końcami do paska górnego; w środku dana kokarda morowa.

N. 4. Kołnierz koronkowy z żabotem.

Kołnierz z koronki saskiej wszyty w pasek 3 cent. szeroki, 40 długi, żabot ułożony z kawałka gazy 35 c. długiego, 32 szerokiego, oszytego przy końcach koronką 11 cent. szeroką; gaza ta fałduje się, składa we dwoje i przewiązuje węzłem z oddzielnego kawałka.



N. 32—33. Stołeczek składany. Patrz ryc. 39.

N. 5. Ubranie domowe.

Suknia z materyału wełnianego ciemno zielonego przerabianego kolorowemi nitkami, miała spódnicę całą plisowaną, naszytą szerokim pasem aksamitnym i zakończoną wązkiem plisowaniem. Przody i boki vêtement krajane w jednym ciągu są zebrane w fałdy i krótko podpięte; plecy zaś krają się bardzo długo i podkładają w pukle zamiast podpinania. Kołnierz stojący, mankiety i klapki przy kieszonkach dane z aksamitu.

N. 6. Ubranie wizytowe.

Strojna wizytowa czarna suknia odrobiona jest z kosztownej brokateli, aksamitu i faille, z tej ostatniej dany tylko rodzaj żabotu na bawetowym staniku aksamitnym. Gładka, krótka spódnica z brokateli ma u dołu wązką bufkę aksamitną. Na draperyę przednią, oszytą frendzlą sznelową 14 c. szeroką, potrzeba kawałka materyału 200 c. długiego, 38 c. szerokiego, zwężonego z boków do 10 c. sfałdowanego u góry, u dołu przyszytego w bufę. Zamiast tylnej draperyi dany bryt aksamitny, podszyty materyą, 225 cent. długi, u góry sfałdowany i przypięty sposobem odwracanym na wierzchu baskiny stanika. *(D. n.)*



N. 35. Paletocik z pelerynką. Patrz ryc. 34.



N. 36. Dolman z adamaszkowej materyi. N. 37. Paletot zdobny naszyciem szmuklerskiem.



N. 38. Rękawiczki czarne ozdobione klinami z marszczonej materyi.



N. 40. Ubranie balowe ze stanikiem z baskiną.



N. 39. Woreczek do składanego stołeczka, ryc. 32.



N. 41. Ubranie balowe z koronką.